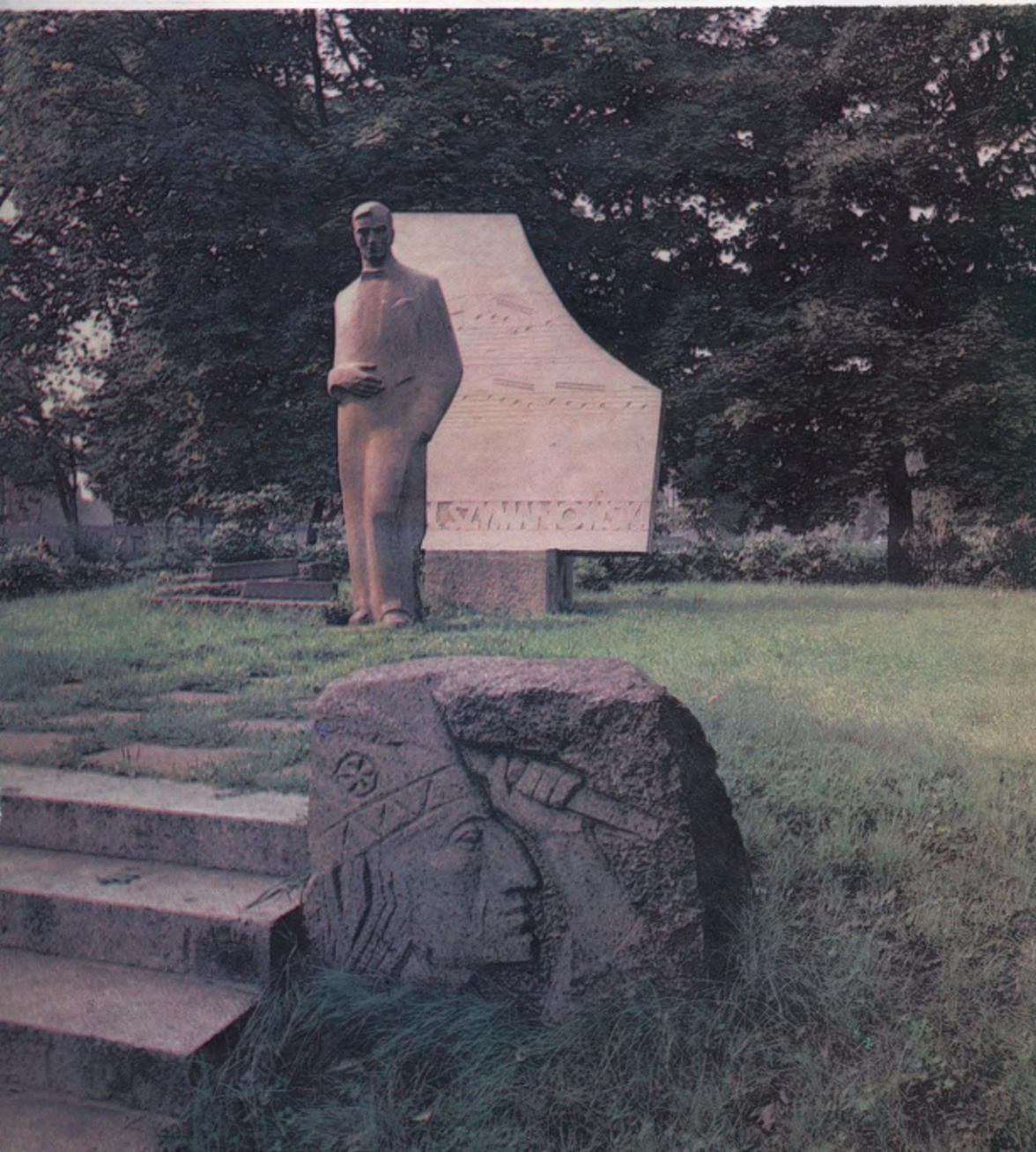


GRUPA

1984
WRZESIEŃ

NR
ROK III



PO RAZ PIERWSZY NA ŁAMACH „GRYFA”

ZD

ZDZISŁAW DRZEWIECKI

Urodził się w 1959 roku w Strzelcach Opolskich. Ukończył Technikum Mechaniczne w Słupsku — szkołę, której absolwentami jest także kilku innych młodych poetów.

Pracował jako ślusarz-monter w Fabryce Maszyn Rolniczych „Famarol” w Słupsku. Obecnie pracuje jako nauczyciel i mieszka we wsi Sokole k/Czarnego.

Należał do grupy poetyckiej „Dialog nienazwany” (wspólnie z Jerzym Fryckowskim i Stefanem Jażdżewskim), gdzie wydał wspólny tomik wierszy pod tym samym tytułem (OW „Pobrzeże” 1981 r.). Jest laureatem wszystkich (trzech) edycji konkursu poetyckiego im. Zbigniewa Krupowiesia organizowanego w Słupsku. Drukuje na łamach prasy regionalnej i ogólnopolskiej. Pod koniec bieżącego roku nakładem oficyny wydawniczej „Pobrzeże” ma się ukazać jego debiutancki tomik wierszy pt.: „Chwila za drzwiami”.

Jest członkiem Słupskiego Klubu Młodych Pisarzy przy ZW ZSMP.

W wierszach obca jest mu idea „Nowej prywatności”. Nie ucieka od problemów współczesności. Koncentruje się na ukazaniu jednostki w społeczeństwie, braku jej miejsca i zagubieniu, wyobcowaniu i uprzedmiotowieniu. Obnaża zaborcze mechanizmy zbiorowości wobec jednostki. Większość jego wierszy ma nastrojowy klimat bluesa, ale nie jest to li tylko bunt i negacja rzeczywistości. Jest to, myślę, przede wszystkim chęć, w miarę racjonalnego, zrozumienia i ukazania, choć dramatycznego, bo niezmiennego „krajobrazu” towarzyszącego ludzkiej egzystencji.

STEFAN MILER

GRYF

WOJEWÓDZKI
INFORMATOR
KULTURALNY

ŚLUPSK ■ WRZESIEŃ ■ 1984 r.

W NUMERZE:

JAKI BĘDZIE XVIII FPP **MIROŚŁAWA MIRECKA** PYTA ORGANIZATORÓW ●
JÓZEF LINDMAJER KONTYNUUJE ROZWAŻANIA O LOSACH PAŃSTWA ●
JESTEŚMY SPOŁECZNOŚCIĄ „OGŁADACZY” TWIERDZI **ANNA RACZYŃSKA** ●
KTO NIE BYŁ NA DYSKOTECE, NIECH ŻAŁUJE MÓWI **ANTONI KUSTUSZ** ●
KULTURĘ POŁTAWIAN PRZYBLIŻA **MIROŚŁAWA MIRECKA** ●
CZY ZABYTKOWA AMBONA POWRÓCI DO RADACZA ZASTANAWIA SIĘ **BOGUSŁAW MATUSZKIEWICZ** ●
O NIEZWYKŁEJ ATMOSFERZE U ŚW. JACKA DOWIADUJE SIĘ **ELŻBIETA POTURAJ** ●
W ROZMOWIE Z KOMISARZEM IMPREZY ●
DOM KULTURY KOLEJARZA PREZENTUJE **JOLANTA NITKOWSKA** ●
PO ZAKAMARKACH HISTORII KINA OPROWADZA **JAN SROKA** ●
PLENER CERAMICZNY JEST BARDZO POTRZEBNY, ALE... TWIERDZI **TERESA SKÓROWA** ●
KULTURA W GMINIE JEST TEMATEM WYWIADU **JOLANTY NITKOWSKIEJ** ●
PIERWSZE LATA W POMORZANCE WSPOMINA **KAZIMIERZ KWIECIEŃ** ●
JAK MÓWIONO NA KRESACH PRZYPOMINA **ANDRZEJ TURCZYŃSKI** ●
KTO ZABIŁ? — TO PYTANIE **ANATOLA ULMANA** ●
PONADTO: KRONIKA, REPERTUARY I DUET KRZYŻÓWKOWY.

i kolejnych latach, odbę-
największa, trwająca nie-
na Słupska. Jaki będzie
icza, prezesa Słupskiego
epcę przewodniczącego Ko-
sława Turczyka, komisarza

ji

aczej od ulubienicy publiczności
y Stefańskiej-Łukowicz. Od 1965 r.,
prócz pierwszej nagrody na między-
wym konkursie w Genewie, zyska-
ł „najlepszego klawesynisty”, ar-
ta ma najlepsze notowania. Wy-
w towarzystwie renomowanego fle-
lazimierza Moszyńskiego.

tuższej przerwie na estradę festiwa-
owróci duet dwufortepianowy, tym
w zaskakującym składzie — Anny
Stańczyk, przebywającej ostatnio w
nie na nagraniach i występach oraz
za Chmielewskiego, uznanego soli-
kompaniatora.

lką na festiwalu będzie popis zna-
go Śląskiego Kwartetu Smyczkowe-
udziałem Eugeniusza Knapika, pia-
kompozytora, wyróżnianego w licz-
konkursach, m.in. na Międzynarodo-
cybunie Kompozytorów UNESCO w
li.

mniej szczególnie wieczór zapowiada
związku z recitałem klawesynowym
leny Ekielskiej-Myczki. Forma, jaką
ta prezentuje ostatnio, owocuje re-
jnymi wręcz efektami. Mieliśmy
niedawno tego dowód w Słupsku.
ęcamy bardzo do wysłuchania Wło-
rza Obidowicza, wielkiego wyko-
utworów Jana Sebastiana Bacha,
h nie zabraknie w repertuarze reci-
aszego stałego gościa. Z zaintereso-
n oczekujemy również występu Bar-
brajewskiej, od kilku lat zamieszka-
Holandii, gdzie prowadzi ożywione
muzyczne — wiele koncertuje, na-
i jest pedagogiem w Wyższej Szko-

PO RAZ PIERWSZ

ZD

ZDZISŁAW

Urodził się w 1959 roku
kum Mechaniczne w Słupsku
kilku innych młodych poetów

Pracował jako ślusarz-r
marol" w Słupsku. Obecnie
Sokole k/Czarnego.

Należał do grupy poetyc
Fryckowskim i Stefanem
wierszy pod tym samym ty
tem wszystkich (trzech) edy
powiesia organizowanego w
nej i ogólnopolskiej. Pod k
dawniczej „Pobrzeże” ma s
„Chwila za drzwiami”.

Jest członkiem Słupskie

W wierszach obca jest
od problemów współczesno
w społeczeństwie, braku jej
miotowaniu. Obnaża zabor
Większość jego wierszy ma
tylko bunt i negacja rzecz
chęć, w miarę racjonalnego
ho niezmiennego „krajobra

WYDAJE: Stowarzyszenie Społeczno-Kul-
turalne „Pobrzeże” w Słupsku.

ADRES REDAKCJI: 76-200 Słupsk, ul.
Zamenhofs 1, tel. 83-13, 38-05.

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Czesław Go-
mułkiewicz, Ryszard Hetnarowicz, Urszula
Mączka, Andrzej Szulc, Andrzej Turczyński.

REDAGUJĄ: Waldemar Pakulski — re-
daktor naczelny (tel. 24-56) i Elżbieta Po-
turaj — sekretarz i oprac. techniczne (tel.
43-81). Zdjęcia barwne i cz.-b. — Jan
Maziejuk. Korekta — Aleksander Lewoń.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie
zwraca, zastrzega sobie również prawo ich
skracania. Opinie przedstawiane w „Poczcie”
nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji.

Na okładce:

- Pomnik Karola Szymanowskiego
w Słupsku
- Kościół św. Jacka i fragmenty murów
obronnych w Słupsku

WARUNKI PRENUMERATY: kwartalna — 45 zł,
półroczna — 90 zł, roczna — 180 zł. RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, 76-200 Słupsk, Al. Sien-
kiewicza 7. Konto — NBP 77002-794 Słupsk,
nr indeksu 5966. Wpłaty od jednostek gospo-
darki uspołecznionej, instytucji, organizacji
przyjmują miejscowe oddziały RSW i ekspozy-
tury lub urzędy pocztowe w miejscowościach,
w których nie ma placówek RSW. Nabywcy
indywidualni opłacają prenumeratę w urzędach
pocztowych na podane konto i numer indeksu
oraz adres.

DRUK: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w
Słupsku. Nakład 1000 egz. format B-5. Zam.
nr 2756. Druk barwnej okładki: Prasowe Za-
kłady Graficzne w Koszalinie, P-8.

Cena 15 zł

We wrześniu, podobnie jak w roku 1967 i kolejnych latach, odbędzie się Festiwal Pianistyki Polskiej — największa, trwająca nieprzerwanie przez 17 lat, impreza kulturalna Słupska. Jaki będzie w tym roku? — pytamy Jerzego Bytnerowicza, prezesa Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, zastępcę przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego XVIII FPP i Stanisława Turczyka, komisarza imprezy.

Siła w tradycji i przyszłości

— Zarówno nazwiska wykonawców jak i program koncertów tegorocznego festiwalu zapowiadają udaną imprezę. Jak wiemy jednak z doświadczenia, ostateczny kształt zależy od wielu dodatkowych jeszcze czynników. Chociaż największe niespodzianki zwykle sprawiali nam właśnie sami artyści, kiedy to gwiazdy — zdarzało się — rozczarowywały, natomiast mniej znani i popularni pianiści potrafili olnić publiczność i krytyków. Zawsze spodziewamy się odkryć talenty i dać słupskiej widowni sporo nowych przeżyć.

— Na kogo w tym roku „liczą” organizatorzy?

— Dwóch świetnych artystów inauguruje i kończy festiwal. Rozpocznie Józef Stempel, który był niedawno gorąco oklaskiwany za rewelacyjne wykonanie utworów Fryderyka Chopina podczas jubileuszu 50-lecia Instytutu, naszącego imię tego największego polskiego kompozytora. Na zakończenie wystąpi pianistka, której artystyczne konto jest przepełnione sukcesami. Regina Smendzianka, bo o niej mowa, koncertowała w 35 krajach świata, cieszy się opinią wybitnej chopinistki, ma ogromnie bogaty repertuar, liczne nagrania, nagrody, jest profesorem Akademii Muzycznej w Warszawie i członkiem Meksykańskiego Instytutu Kultury.

— Do dobrych obyczajów festiwalu należy jak najlepsza obsada koncertów i recitali inauguracyjnych i kończących imprezę. Kto może być magnesem przyciągającym melomanów wśród wszystkich innych popołudni i wieczorów muzycznych festiwalu?

— Zaczniemy od ulubienicy publiczności Elżbiety Stefańskiej-Łukowicz. Od 1965 r., kiedy prócz pierwszej nagrody na międzynarodowym konkursie w Genewie, zyskała tytuł „najlepszego klawesynisty”, artystka ta ma najlepsze notowania. Wystąpi w towarzystwie renomowanego flecisty Kazimierza Moszyńskiego.

Po dłuższej przerwie na estradę festiwalową powróci duet dwufortepianowy, tym razem w zaskakującym składzie — Anny Marii Stańczyk, przebywającej ostatnio w Londynie na nagraniach i występach oraz Tadeusza Chmielewskiego, uznanego solisty i akompaniatora.

Perełką na festiwalu będzie popis znakomitego Śląskiego Kwartetu Smyczkowego z udziałem Eugeniusza Knapika, pianisty i kompozytora, wyróżnianego w licznych konkursach, m.in. na Międzynarodowej Trybunie Kompozytorów UNESCO w Paryżu.

Nie mniej szczególny wieczór zapowiada się w związku z recitale klawesynowym Magdaleny Ekielskiej-Myczki. Forma, jaką artystka prezentuje ostatnio, owocuje rewelacyjnymi wręcz efektami. Mieliliśmy zresztą niedawno tego dwojga w Słupsku.

Zachęcamy bardzo do wysłuchania Włodzimierza Obidowicza, wielkiego wykonawcy utworów Jana Sebastiana Bacha, których nie zabraknie w repertuarze recitalu naszego stałego gościa. Z zainteresowaniem oczekujemy również występu Barbary Grajewskiej, od kilku lat zamieszkałej w Holandii, gdzie prowadzi ożywione życie muzyczne — wiele koncertuje, nagrywa i jest pedagogiem w Wyższej Szkole

le Muzycznej w Rotterdamie i Maastrichtcie.

— Największa niewiadoma jest jednak „Estrada Młodych”. Jakkolwiek celem tego nurtu imprez FPP, gdzie za fortawianem zasiadają kandydaci na pianistów, nie jest zadowolenie publiczności, lecz wyłowienie i pomoc autentycznym talentom — są to występy otwarte i nie mogą nużyć.

— Skład „Estrady Młodych” jest starannie dobierany. Uczelnie muzyczne kierują do Słupska najlepszych studentów lub absolwentów. Zdarzają się oczywiście pomylki lub — jak na każdym konkursie — nieudane starty ale zna też historia naszego festiwalu rewelacyjne odkrycia. W ogólności „Estrada Młodych” jest atutem festiwalu, z roku na rok jej uczestnicy prezentowali coraz wyższy poziom. Tzw. „pomoc naukowe”, jakie różne kompetentne firmy fundują laureatom „Estrady” pod postacią koncertów na krajowych i zagranicznych estradach, nagrań radiowych i telewizyjnych, stypendiów — sprawiły, że dostanie się do ekip „Estrady Młodych” wymaga teraz wielu starań.

— Jak w ocenie promotorów przedstawia się tegoroczna ekipa młodych?

— Jest to młodzież, która ma za sobą debiuty. Z klasy prof. Tadeusza Żmudzińskiego przwiedzie Mariola Cieniawa, laureatka I nagrody na I Ogólnopolskim Konkursie Pianistycznym im. Karola Szymanowskiego. Również w gronie najlepszych tego konkursu znalazła się wytypowana na FPP Teresa Czekaj. Warszawska uczelnia będzie reprezentowała po licznych występach i dobrym starcie na konkursie organizowanym przez rozłośnie radiowa w Katowicach Joanna Wieczorek. Przew klawesynie zasiadzie laureatka III nagrody na konkursie w Poleradzie — Maria Machnikowska. Wystąpi też finalista międzynarodowego konkursu w Bolzano — Włodzimierz Skonieczny. Bardzo utalentowanym pianistą jest Paweł Skrzypek, o czym świadcza dwie pierwsze nagrody ze światowych konkursów i wiele już występów. Oninie nieprzeciętnego talentu muzycznego ma także Mariusz Danilewski z Warszawy. Z ciekawością na pewno przywita melomani występ Moniki Rosci, i nie tylko dlatego, że była odtwórczynią roli Noli w filmie „W pustyni i w puszczy”, ale także że z nowodzeniem rozpoczęła swoje artystyczne życie.



Tradycyjnie już zorganizowana będzie w teatrze sprzedaż wydawnictw muzycznych i festiwalowych.

— Publiczności, zwłaszcza tej okazjonalnie stykającej się z muzyką, trudno pogodzić się z faktem, że w ciągu tych siedemnastu lat festiwalu, miejsce gwiazd, które oślnęły świat w 1949 r. na pierwszym powojennym Konkursie Chopinowskim i długo wiodły prym w polskiej pianistyce, muszą wreszcie zająć inni. Z żalem słyszczanie przyjmują nieobecność na festiwalach Jerzego Waldorffa...

— Nie sądzimy, żeby ten niezrównany propagator FPP i Słupska na zawsze pożegnał się z imprezą, której jest współtwórcą. Przed rokiem nie przyjechał, ponieważ tuż przed festiwalem poddał się poważnej operacji. W tym roku obecność Jerzego Waldorffa na imprezie będzie zależała od terminu jego wyprawy za granicę. Ale musimy powiedzieć, że nawet z dala zawsze gorąco popiera i wspomaga nasz festiwal, jak również interesuje się jego przebiegiem i wynikami.

— Co zrobiono, by o XVIII Festiwalu Pianistyki Polskiej wiedzano poza murami sal, w których odbywają się koncerty?

— Tradycyjnie biblioteka przygotowuje wystawę pamiątek festiwalowych — znaczków, plakatów, programów, medali

itp. W teatrach i w księgarniach zorganizowana zostanie sprzedaż wydawnictw muzycznych i festiwalowych. Będą też do nabycia płyty i kasety. Wydaliśmy nowy medal, tym razem z wizerunkiem Witolda Małcużyńskiego, zmarłego niedawno wybitnego pianisty, który inaugurował w 1971 roku FPP. Będzie okolicznościowy datownik, proporzeczki festiwalowe, programy. Festiwal, wbrew opinii malkontentów, ma stałych sympatyków w różnych środowiskach. Dowodem chociażby gest słupskich działkowców z rejonu Westerplatte i Gdynskiej, którzy znów przygotowują wielką wystawę kwiatów i warzyw i deklarują pomoc przy dekoracji sal koncertowych. Biuro Wystaw Artystycznych, jak zwykle, szykuje ekspozycję malarską tematycznie związaną z festiwalem. Handlowcy współpracują z nami przy organizacji konkursu na wystawę o FPP w witrynie sklepowej. Zawsze przychyłność spotykamy ze strony gastronomików, personelu hoteli, jak też innych firm, kiedy ich pomoc okaże się niezbędną.

Rozmawiała:

MIROSLAWA MIRECKA

Program XVIII Festiwalu Pianistyki Polskiej

● Sobota, 8 września

Teatr Dramatyczny, godz. 19.00
Inauguracja Festiwalu

Koncert symfoniczny. **Wykonawcy:** Józef Stompel — pianista i Orkiestra Symfoniczna Państwowej Filharmonii w Białymstoku pod dyktando Tadeusza Chachaja. **W programie:** Henryk Melcer — II koncert fortepianowy c-moll, Zygmunt Stojowski — I koncert fortepianowy fis-moll op. 3

● Niedziela, 9 września

Zamek Książąt Pomorskich, godz. 17.00
Koncert kameralny. **Wykonawcy:** Elżbieta Stefańska-Lukowicz — klawesynistka, Kazimierz Moszyński — flecista. **Słowo o muzyce —** Józef Kański.

W programie: Georg Friedrich Haendel — II sonata fletowa e-moll, VII sonata fletowa h-moll, IV sonata fletowa a-

moll, Johann Sebastian Bach — II suita francuska c-moll BWV 813, Joseph Haydn — sonata G-dur, Jean-Philippe Rameau — Gawot z wariacjami a-moll, Padre Antonio Soler — Fandango

Teatr Dramatyczny, godz. 20.00
Recital fortepianowy Barbary Grajewskiej. **Słowo o muzyce —** Zbigniew Pawlicki. **W programie:** Mikołaj Medtner — Sonata Triada op. 11, Sergiusz Rachmaninow — Wariacje na temat Correlli'ego op. 42, Johannes Brahms — Klavierstücke op. 76 zeszyt I i II.

● Poniedziałek, 10 września,

Zamek Książąt Pomorskich, godz. 17.00.
Estrada Młodych — Dwa półrecitale fortepianowe. **Wykonawcy:** Teresa Czeka i Joanna Wieczorek. **Słowo o muzyce —** Stanisław Dębowski. **W programie:** Ludwig van Beethoven — Sonata As-dur op. 10, Aleksander Skriabin —

III sonata fis-moll op. 23. Po przerwie: Fryderyk Chopin — Polonez fis-moll op. 44, Maurice Ravel — Miroirs.

Teatr Dramatyczny, godz. 20.

Recital fortepianowy Włodzimierza Obidowicza. Słowo o muzyce — Grzegorz Michalski. **W programie:** Franz Schubert — Sonata B-dur, Johann Sebastian Bach — Aria variata alla maniera italiana BWV 999, Preludium i fuga C-dur (tom I) BWV 846, Preludium i fuga cis-moll (tom I) BWV 849, Preludium i fuga organowa D-dur BWV 532.

● Wtorek, 11 września

Zamek Książąt Pomorskich, godz. 17.00.

Estrada Młodych — Dwa półrecitale fortepianowe w wykonaniu Marioli Cieniawy i Włodzimierza Skoniecznego. Słowo o muzyce — Jan Popis. **W programie:** Muzio Clementi — Sonata C-dur op. 34 nr 1, Claude Debussy — L'isle joyeuse, Aleksander Skriabin — III sonata fis-moll op. 23. Po przerwie: Ludwig van Beethoven — Sonata Es-dur op. 31, Maurice Ravel — Gaspard de la Nuit.

Teatr Dramatyczny, godz. 20.00.

Recital dwufortepianowy Anny Marii Stańczyk i Tadeusza Chmielewskiego. Słowo o muzyce — Zbigniew Pawlicki. **W programie:** Wolfgang Amadeusz Mozart — Sonata D-dur KV 448, Sergiusz Rachmaninow — Walc i tarantella z II suity op. 17, Fryderyk Chopin — Rondo C-dur op. 73, Ferenc Liszt — Koncert patetyczny.

● Środa, 12 września

Zamek Książąt Pomorskich, godz. 17.00

Estrada Młodych — Półrecital klawesynowy Marii Machnikowskiej i półrecital fortepianowy Pawła Skrzvoka. Słowo o muzyce — Grzegorz Michalski. **W programie:** Johann Sebastian Bach — IV suita francuska E-dur BWV 817, Michał Spisak — Suita, Jean Françaix — L'Insectarium. Po przerwie: Fryderyk Chopin — Fantazja As-dur op. 61, Henryk Melcer — Morceau Fantastique, Igor Strawiński — Trzy fragmenty z baletu „Pietruszka”.

Teatr Dramatyczny, godz. 20.00

Recital fortepianowy Włodzimierza Kutrzyby. Słowo o muzyce — Józef Kański. **W programie:** Józef Elsner — II sonata D-dur, Fryderyk Chopin — Wariacje B-dur op. 12, Eugeniusz Pankiewicz — Wariacje D-dur na temat własny op. 10, Karol Szymanowski — Fantazja op. 14, Tadeusz Szeligowski — Sonata.

● Czwartek, 13 września

Zamek Książąt Pomorskich, godz. 17.00

Estrada Młodych — Dwa półrecitale fortepianowe Moniki Rosci i Mariusza Danilewskiego. Słowo o muzyce — Jan Popis. **W programie:** Johann Sebastian Bach — Fantazja dramatyczna i fuga d-moll BWV 903, Fryderyk Chopin — Ballada f-moll op. 52, Karol Szymanowski — Szecherezada z cyklu „Mastki” op. 34. Po przerwie: Johann Sebastian Bach — Toccata c-moll BWV 911, Fryderyk Chopin — 3 etiudy z op. 10, Aleksander Skriabin — V sonata op. 53.

Teatr Dramatyczny, godz. 20.00

Koncert kameralny Śląskiego Kwartetu Smyczkowego i Eugeniusza Knapika (fortepian). Słowo o muzyce — Zbigniew Pawlicki. **W programie:** Juliusz Zarebski — Kwintet fortepianowy e-moll op. 34, Robert Schumann — Kwintet fortepianowy Es-dur op. 44.

● Piątek, 14 września

Zamek Książąt Pomorskich, godz. 17.00

Recital klawesynowy Magdaleny Ekielskiej-Myczki. Słowo o muzyce — Stanisław Dybowski. **W programie:** Johann Sebastian Bach — Adagio G-dur BWV 968, V suita francuska G-dur BWV 816, Jean-Philippe Rameau — Suita a-moll, Johann Sebastian Bach — Preludium i fuga H-dur (tom I) BWV 868 i Uwertura francuska h-moll BWV 831.

Teatr Dramatyczny, godz. 20.00

Recital fortepianowy Andrzeja Pikula. Słowo o muzyce — Józef Kański. **W programie:** Robert Schumann — Karnawał op. 9, Scènes mignonnes sur quatre notes, Fryderyk Chopin — Scherzo b-moll op. 31, Claude Debussy — Images zeszyt I, Frank Martin — 8 preludiów.

● Sobota, 15 września

Teatr Dramatyczny, godz. 19.00

Zakończenie festiwalu Koncert symfoniczny w wykonaniu Reżyny Smendzianki (fortepian) i Słuskiej Orkiestry Kameralnej pod dyrekcją Zdzisława Siadłaka. **W programie:** Johann Sebastian Bach — IV koncert fortepianowy A-dur BWV 1055, Ludwig van Beethoven — IV koncert fortepianowy G-dur op. 58, Fryderyk Chopin — II koncert fortepianowy f-moll op. 21.

Na szlakach brandenburskiej agresji

(3)

JÓZEF LINDMAJER

Sukcesy Brandenburgii w latach 1308—1310 — mimo swej połowiczności, z racji chociażby odsprzedania swoich „uprawnień” do Pomorza Gdańskiego Zakonowi Krzyżackiemu — wyznaczyły krótki okres powodzenia dynastii askańskiej na Pomorzu. Niemal równocześnie z tymi wydarzeniami, przypadającymi na schyłkowe lata panowania ostatniego margrabiego z tej dynastii, Marchia Brandenburska wkroczyła w powolny — chociaż przejściowy — etap swego rozkładu, wyznaczonego także alienacją niektórych ziem wcześniej przez nią zagarniętych. Główną przyczyną tego regresu był niekorzystny wynik zbrojnej konfrontacji Marchii z odrodzonym państwem duńskim które rościło sobie pretensje do ziem na wschód od ujścia rzeki Łaby, i pod którego opiekę — wobec nacisku Brandenburgii — uciekli się książęta Meklemburgii i Rugii.

Marchia Brandenburska podjęła wyzwanie uderzając na Strzałów i Rugię. W roku 1315 powstała silna koalicja antybrandenburska z królem duńskim na czele. Wszedł do niej również książę Władysław Łokietek, który żywił nadzieję na odzyskanie utraconych ziem północnej Wielkopolski. W rozpetanej w 1316 roku wojnie Brandenburgia poniosła pierwszą w swych dotychczasowych dziejach poważną klęskę. Zanim to nastąpiło księstwo szczecińskie odzyskało ziemię pelczycką (1315 r.). Natomiast w toku wojny osłabiona Brandenburgia oddała w 1317 roku rejon Świdwina i Złocienka w zastaw na 14 lat biskupowi kamieńskiemu i straciła ziemię sławieńsko-słupską na rzecz Wacława IV, księcia wologoj-skiego.

W roku 1319 wymiera linia askańska margrabiów. Nowa dynastia niemiecka Wittelsbachów, która w 1323 roku objęła rządy w Niemczech po uporczywych walkach, postawiła też twardą stopę w Marchii Brandenburskiej, początkowo jednak nie na całym jej terytorium. Przejściowo w latach 1319—1323 władzę Nowej Mar-

chii narzucił energiczny książę pomorski Wacław IV.

Dalsze wypadki wskazują, że w połowie lat dwudziestych XIV stulecia zarysowała się całkiem realna możliwość odzyskania części Nowej Marchii przez Królestwo Polskie. Władysław Łokietek, w połowie roku 1325, zawarł z książętami pomorskimi układ, w którym przewidziano, między innymi, podział Nowej Marchii. Tereny na zachód od Drawy miały stanowić strefę wpływów pomorskich, na wschód od tej rzeki — strefę wpływów polskich. Ze strony polskiej — dodajmy — była to próba przywrócenia stanu rzeczy sprzed roku 1250. Jednakże władcy Pomorza nie wytrwali w przymierzu, a ziemia walecka pozostała dalej poza granicami państwa polskiego, odradzającego właśnie swą potęgę po wielu dziesiątkach lat rozbitcia polityczno-terytorialnego.

Także Kazimierz Wielki poniechał być na pewien czas walki orężnej o odzyskanie dorzecza górnej Drawy i całej ziemi waleckiej. Świadczy o tym pokój zawarty w 1338 roku między Polską a Brandenburgią na zasadzie status quo.

Wittelsbachowie wkraczając na arenę dziejową Brandenburgii — uwikłani w Rzeszy w wielkie spory terytorialno-dynastyczne — chcieli utrzymać w nienaruszonym stanie zdobyte obszary Marchii leżące na wschód od Odry. W tym celu np. zwiększali oni swobody istniejącym tu miastom (konkretniej gminom niemieckim w tych skupiskach). Rozszerzali system nadań wiernemu miejscowemu rycerstwu. Nowym przedstawicielem tego stanu i innym możliwym rodem pochodzącym z Pomorza czy z odległych nierz regionów Rzeszy (np. z Westfalii) zezwalali budować w Nowej Marchii liczne zamki. Była to świadoma kontynuacja poprzedniej wzmożonej działalności kolonizacyjno-gospodarczej Askańczyków, służąca im w umacnianiu zdobytego kraju

oraz w realizacji dalszej agresywnej polityki terytorialnej.

Status prawny ziem pogranicza zachodniopomorsko-nowomarchijskiego w pierwszej połowie XIV wieku był bardzo niestabilny. Jednocześnie władza margrabiów z linii Wittelsbachów — wskutek ich różnorodnych trudności politycznych i ekonomicznych w Rzeszy i w Marchii Brandenburskiej — ulegała dość szybko ograniczeniom, przechodząc w ręce rodów możnowładczych, zwłaszcza na wschodnich rubieżach Marchii. W latach 1348—1355 doszło na terenie Nowej Marchii do walk wewnętrznych. Podczas tych zamieszek Kazimierz wielki podjął próbę odzyskania ziem zanoteckich, lecz zamiary te jeszcze się nie powiodły, chociaż wojska polskie podeszły aż pod Drawsko.

W roku 1363 dynastia Luksemburczyków (linia cesarska) zapewniła sobie sukcesję w Marchii Brandenburskiej na wypadek wygaśnięcia władców z domu Wittelsbachów (co też w niedługim czasie potem nastąpiło). Układ ten wzbudził w Krakowie zrozumiałe niepokój. Tymczasem realizacji planów polskich, zakładających odzyskanie ziem na północ od Noteci, sprzyjało niezadowolenie części możnowładztwa nowomarchijskiego niezadowolonego z polityki ostatniego Wittelsbacha i pełnomocnika cesarza (Karola IV), który był już taktycznym wielkorrhodzącą Nowej Marchii. Rody rycersko-możnowładcze w tej dzielnicy, tracące urzędy, dochody, a co za tym idzie znaczenie polityczne (na skutek twardej polityki fiskalnej margrabiiego i wielkorrhodzących), rozglądały się za potężnym protektorem, dzięki któremu mogłyby odbudować swoją pozycję majątkową i prestiż.

Sposobność dla pozyskania nowego protektora rzeczywiście się nadarzyła. Przykład do działań w tym kierunku dali przedstawiciele nowomarchijskiego rodu von Wedel — konkretnie panowie na Tucznie i Złocieńcu, którzy w roku 1365 uznali zwierzchność króla polskiego. Ułatwiło to wojskom polskim, walczącym o obszary za Notecią już od roku, wbiecie się w głąb Marchii i zajęcie ziem także po zachodniej stronie górnego biegu rzeki Drawy. Rzeczywiste rewindykacje polskie nie były jednak tak rozległe. Ostatecznie na mocy układu zawartego w Drawsku Pomorskim (między Kazimierzem Wielkim a margrabią Ottonem Leniwym) w roku 1368 wróciła do Korony (w skład województwa poznańskiego) historyczna ziemia walecka, drahimska i czaplinecka. Mimo pewnej

połowiczności zabiegów Polski w odzyskiwaniu ziem zanoteckich dokonało się wydarzenie znaczące. Po roku 1363 został nie tylko uszczuplony stan własności Brandenburskiej na wschód od Odry, lecz przede wszystkim został rozerwany łączunek niemieckiego władztwa terytorialnego. Zlikwidowano bowiem niebezpieczne dla interesów Polski połączenie Marchii z państwem krzyżackim, przywrócono zerwaną od dawna łączność graniczną z księstwem zachodniopomorskim. Najbardziej na północ wykuty przez Polskę wąski pas ziem (na wschód i północ od Jeziora Drawskiego) przekształcono w strategiczną bazę, strażnicę polskości — starostwo drahimskie. Przed ponad 300 lat starostowie z Drahimia strzegli niezmiennie ważnych północnych włości Korony. Natomiast pozostała, zdecydowanie większa część odzyskanych w 1368 roku ziem — stanowiąca historyczny powiat walecki — znajdowała się w granicach królestwa polskiego aż do I rozbioru.

Cesarz Karol IV — dążąc do wzmocnienia potęgi rodowej Luksemburczyków w północnych Niemczech — nie czekał na spełnienie się podstawowego warunku układu z 1363 roku. Zmusił on siłą margrabiiego (Ottona Leniwego) do ustąpienia z Marchii Brandenburskiej, co nastąpiło w 1373 roku. Pod rządami luksemburskimi Marchia Brandenburska znajdowała się do roku 1412. Cesarz Karol IV oraz jego następca Jan Luksemburczyk (zapamiętany wróg Polski) wizytowali Nową Marchię. To, co tu zastali (zwłaszcza Jan w 1386 r.) musiało wzbudzić niepokój o dalsze losy i przynależność państwową tego biednego, ale niezwykle ważnego pod względem strategicznym regionu. Toczyły się tu wciąż nowe walki między zubożałymi rodami rycerskimi, przetykane pospolicimi rabunkami, łupieżczymi podjazdami, które nie omijały i nadgranicznych regionów księstwa zachodniopomorskiego, co — naturalnie — prowokowało akcje odwetowe. Dawały ponadto znać o sobie — co było dla cesarstwa szczególnie niepokojące — elementy nastrojów propolskich.

Polityczną stabilizacją w Nowej Marchii zainteresowany był przede wszystkim Malbork. Władze państwa krzyżackiego starały się za wszelką cenę utrzymać pełne i stałe bezpieczeństwo na tzw. „drodze margrabiów” lub „drodze cesarskiej”. Ten najważniejszy trakt łączący państwo krzyżackie z Rzeszą został przerywany w jednym ważnym miejscu — tuż na wschód od Złocieńca, po odzyskaniu przez Polskę Czaplina i zachodnich obrzeży Jeziora Drawskiego w 1368 roku. Dlatego też wyjątkowego znaczenia dla

Krzyżaków nabierała konieczność pełnego kontroliowania drugiej łuki tego szlaku przechodzącego (na północnym odcinku nowomarchijskim) od Drawska przez Świdwin, a dalej (już na terenie księstwa) przez Białogard-Koszalin-Sławno-Słupsk.

W roku 1384 (ostatecznie w 1386 r.) Krzyżacy stali się panami Świdwina i okręgu. Zrodziło to niebezpieczeństwo zarówno dla księstwa zachodniopomorskiego jak i dla niezależności dopiero co uzyskanych pomocnych rubieży Korony, bo — jak się przekonano — Krzyżacy na tym nie poprzestali. W Malborku zrodziły się plany dalszych aneksji. Motywy pewnego swej potęgi i sprawności działania Zakonu, szukającego się do decydującej rozgrywki z Polską, wydają się — mimo wszystko — oczywiste. Krzyżacy przekonali się (a z paszty umacnianej właśnie warowni ien wojta w Świdwinie było to aż nadto widoczne), że dla należytego zabezpieczenia pomostu między Zakonem a Brandenburgią i innymi krajami rzeszy należy opanować pozostałe ziemie Marchii (wstrząsane niepokojami i walkami na granicach z księstwem pomorskim).

Realizację nowych planów przez Krzyżaków przyspieszyło zwycięskie rozbitcie, między Stanowem a Sławem, przy końcu 1388 roku pocztu księcia Giedrii (księstwa nad dolnym Renem), udającego się do Malborka z zamiarem wzięcia udziału w wyprawie przeciwko „niewiernym” Litwinom. Pojmany książę Wilhelm geldryjski został osadzony (nie bez wiedzy strony polskiej) w zamku zioconieckim. (Najobszerniej o tym fakcie i jego następstwach pisze J. Mielcarz w książce „Dzieje społeczne i polityczne księstwa słupskiego w latach 1372—1411”). Innym źródłem niepokoju Krzyżaków były przenikające do Malborka wieści, że następca Jana Luksemburczyka szuka sposobności dla korzystnego sprzedania Nowej Marchii. Wywiad krzyżacki bacznie śledził więc jego zamiary, a równocześnie Krzyżacy nie zaniedbywali żadnej okazji, aby umocnić się w newralicznym punkcie regionu pomorskiego, gdzie schodziły się granice księstwa, Marchii (której część już Krzyżacy posiadli) i Królestwa Polskiego. U schyłku XIV wieku Krzyżacy w istotny sposób wzmocnili swą pozycję na Pomorzu Zachodnim. Mianowicie w roku 1398 biskupstwo kamieńskie i władzę nad całym rozległym dominium przejął były prokurator krzyżacki w Rzymie (Mikołaj Bock). Dzięki jego zabiegom Krzyżacy obsadzili zamki na terytorium biskupim w Karlinie, Koszalinie i Bobolicach. Kolejnym,

poważnym krokiem ku osaczeniu Pomorza Zachodniego, ku połączeniu państwa zakonnego z Brandenburgią (co zagroziłoby polskiemu stanowi posiadania) były udane starania Malborka o uzyskanie całej Nowej Marchii.

Oddalona od centrum władzy Nowa Marchia stawała się dla Zygmunta Luksemburczyka coraz uciążliwszym balastem (co niewiele podatków i danin można było z niej wycisnąć). Ten stale zadłużony monarcha szukał więc sposobności, aby sprzedać Nową Marchię „wielkim zainteresowanym” jak najkorzystniej. Szczególnie dla Krzyżaków nowomarchijski „towar”, wystawiony w 1402 roku na sprzedaż, był szczególnie cenny, i od dawna pożądany, dlatego Zakon czynił wszystko, aby udaremnić sfinalizowanie w Krakowie kontraktu sprzedaży-kupna Nowej Marchii.

Wywiad zakonny działał sprawnie, a zasobne w gotówkę władze w Malborku decydowały błyskawicznie. Na wieść o tym, że Nową Marchię chce kupić Polska — bowiem spisana została w Krakowie odpowiednia umowa — Krzyżacy podobili cenę i tym zważali z Krakowa do Malborka posła Zygmunta Luksemburczyka. Tu w końcu lipca 1402 roku dokonano ostatecznego zapisu. Wojska krzyżackie zajęły całą Nową Marchię.

Tak więc głównie wskutek intrygi i przebiegłości tajnych służb i dyplomacji Krzyżaków nie udało się Polsce u progu XV wieku pokojową tym razem próbą odzyskania dalszych ziem na północnym zachodzie. Była to porażka dotkliwie odczuwana na Wawelu. Odroślem ówczesnej opinii w tej kwestii może być chociażby pewna releksja Jana Długosza. Dla niego symbolicznego wprost charakteru nabierał fakt że jedną z bezpośrednich zaliczanych do najważniejszych przyczyn wielkiej wojny z Zakonem, zakończonej na polach Grunwaldu, było udaremnienie przez Krzyżaków podjętej przez Polskę próby odkupienia Nowej Marchii.

DYLEMATY KULTURY MASOWEJ

Mass-man ?

Jesteśmy społecznością „oglądaczy” — tak przynajmniej powiedział o nas francuski socjolog Edgar Morin, uznając równocześnie „oglądactwo” za jedną z zasadniczych cech kultury współczesnej. I trudno określić tym odmówić słuszności. Nigdy bowiem dotąd człowiek nie był poddany tak zmasowanej ilości obrazów, jak obecnie. Środki masowego komunikowania, między innymi właśnie za pomocą obrazu, przybliżają świat, przenoszą z jednego jego końca w drugi, modelują wyobrażenia i potrzeby w zakresie jego poznania. Nawet te teksty, które mają własny, niezależny od obrazu sens, pełnią często przy nim funkcję elementu li tylko wzmacniającego.

Gdyby przyszło czytelniczkom Mini Magazynu z ostatniej strony popularnego tygodnika „Kobieta i życie” wybierać między opisem a obrazem, większość opowiedziałaby się za tym drugim. Zamiast czytać o życiu księżny Diany, wolałyby je, choć na fotografii, zobaczyć. Pojęcie „oglądacza” nabiera bowiem w kulturze współczesnej szerszego znaczenia. Prowadzony przez masowe środki przekazu „widz” ogląda nie tylko po to, by się dowiedzieć, lecz by podpatrzeć, by się podobnie bawić, ubierać, zachowywać, urządzać mieszkanie, odpoczywać. I jest to nawyk tak silny i determinujący, że czasami otarcie się o cudze przeżycia zastępuje przeżycia własne. Nawet wyjazd do modnej letniskowej miejscowości zamienia się w spektakl, na którym szary obywatel czerpie główną satysfakcję z tego, że jest blisko cudzej zabawy, że ogląda życie tych, którzy mają więcej pieniędzy, lepsze samochody, piękniejsze kobiety, wyższą pozycję — powiedział kiedyś Krzysztof Teodor Toeplitz. Przynajmniej zresztą, że opowiadanie znajomym o napotkanych w Sopocie czy Zakopanem znanym aktorze, piosenkarzu, sportowcu jest źródłem naszej przyjemności, zaś fakt, że mieliśmy okazję być w jego towarzystwie, sposobem na dowartościowanie.

Edgar Morin, pisząc o micie współczesnego Olimpu próbuje dotrzeć do jego społeczno-psychologicznych mechanizmów. Na płaszczyźnie psychologicznej — powiada — dominuje projekcja-identyfikacja. Projekcja, bo widz przenosi na gwiazdę swoje niespełnione tęsknoty i aspiracje. Identyfikacja, bo utożsamia się z nią w chwili kreowania wymarzonej przez siebie sytuacji.

Również społeczny mechanizm tworzenia współczesnego Olimpu nie jest wolny od tych podświadomych tęsknot człowieka współczesnego. Tęsknot za sukcesem, karierą, uwolnieniem od finansowych ograniczeń, ciężkiej pracy etc. Wszystko to jest przecież w potocznym wyobrażeniu wolnością, rezultatem sprzyjającego losu, nie zaś formą zarobkowania i wynikiem pracy.

Nawet wiele gatunków literackich miało swój rodowód między innymi w chęci spełnienia oczekiwań określonych grup społecznych. Tak zwana „literatura dla kucharek”, dominujący w niej mit Kopciuszka, zaspokajał, równocześnie kierował uwagę ku określonego rodzaju marzeniom. Uwspółcześniona bajka o niezwykłym losie zwykłej dziewczyny stawała się z jednej strony rekompensatą za codzienność, z drugiej zaś nadzieją na „wyjście” z niej. O tym, czy księciem dla Kopciuszka stawał się arystokrata czy też reżyser decydował oczywiście czas.

Czas też sprawił, że obecnie mamy do czynienia, szczególnie u nas, ze zjawiskiem rozbijania mitu życia niezwykłego. Wytworzył się już nawet pewien stereotyp odpowiedzi na zadawane w czasie wywiadu z popularną gwiazdą określone pytanie. — Dzięki czemu osiągnęła pani sukces? — Dzięki pracy. — mówi aktorka. — Czym zajmuje się pani poza teatrem i filmem? — Jak każda kobieta — domem, zakupami, kolejkami — odpowiada gwiazda tworząc w ten sposób powoli obraz nowy, bliższy polskiemu realiom i założeniom modelu naszego społeczeństwa.

Nie to jest jednak ważne, czy rzeczywiście Krystyna Janda z trudem, jak każda polska kobieta realizuje swoje przydziałowe kartki, lecz to, co poza jej koncepcją teatru i sztuki aktorskiej interesuje jeszcze przeciętnego czytelnika. Czy próba wejścia w jej prywatność wynika z osobistej ciekawości autora czy też presji masy czytelniczej?

Można zatem pytać: — czy treści kultury masowej formują świadomość odbiorcy, czy świadomość odbiorcy formuje treści kultury masowej. Można zresztą takich

i im podobnych pytań postawić sporo. Już od lat bowiem cała współczesna kultura-logia rozważa wszelkie za i przeciw, tworzy pesymistyczne i optymistyczne oceny zjawisk kulturowych, broni człowieka przed ubezwłasnowolnieniem lub pcha go w sam środek tej potężnej maszyny.

Nie ma jednak potrzeby, by kontynuować tu refleksje naukowe, opowiadać się po jednej czy drugiej stronie. Dla każdego z nas bowiem, daleko bardziej ważne jest uświadomienie sobie tkwiącego w kolportowanych informacjach zagrożenia dla indywidualności i niezależności. Daleko bardziej też istotna jest próba

stworzenia strategii obrony przed „homogenizowanymi” treściami, w których rzeczy istotne mieszają się z bzdurą, odkrywczym z banałem. Ona bowiem zadecyduje, na ile każdy z nas stanie się kimś, kogo Ortega y Gasset nazwał „mass-manem” — człowiekiem o nieokreślonej przynależności klasowej, za to zdeterminowanej, konformistycznej, prymitywnej świadomości kulturowej. Przy okazji następnego spotkania podejmiemy więc próbę oceny propozycji wysuwanych ze strony kultury masowej i czynionych już przez nas samych wyborów.

ANNA RACZYŃSKA

Disco - zjawisko

Dość nieoczekiwanie w panoramie letnich propozycji kulturalnych dla młodzieży pojawiło się nowe w Słupsku zjawisko. Otóż klub sportowy MZKS „Czarni”, poszukując sposobów na podreperowanie klubowej kasy postanowił przeznaczyć halę przy ul. Grottgera na... dyskotekę. Zatrudniono specjalistów w tej branży, S. Kątnika, A. Moszkę i innych. Zapewniono najnowsze nagrania, efekty dźwiękowe, świetlne i filmowe (dzięki pomocy kina „Polonia”). Do pilnowania porządku zobowiązano bokserów z mistrzowskiej drużyny, a to gwarantowało spokój na sali bez względu na temperament miłośników disco-rytmów. Największa w kraju dyskoteka — ruszyła!

Dyskoteka funkcjonowała niemal całą dobę. Od 19 do 22.30, bawiła się młodzież szkolna, koloniści, członkowie OHP, a od 23 do 2 lub 4 nad ranem bawili się do-



rośli i młodzież starsza. Program uzupełniały swoim występem „Arabeski”. Występowali także z pokazami artyści cyrku „Arlekin”. Wyświetlano kreskówki, slaj-

dy i filmy muzyczne. Bywalcy dyskoteki nie mogli narzekać na brak wrażeń, tym bardziej, że organizatorom udało się zapewnić występ znanych zespołów rockowych: Mr ZOOB, Klaus Mittfoch i Republika. Wprawdzie drożały wówczas bilety, ale i tak sala wypełniała się po brzegi.

Kiedy ten numer „Gryfa” dotrze do rąk Czytelników „Czarni” będą sumować wyniki działalności dyskoteki. Jak wstępnie obliczał Jerzy Wójcik, kierownik działu sportu w klubie, na dyskotekę przyszło w czasie wakacji ponad 24 tysiące osób. Przeciętnie 400 osób dziennie. To znaczny procent amatorów kulturalnej rozrywki w czasie letnich wakacji i urlopów. Dodajmy, że w Słupsku niewiele proponuje się młodym, nie licząc pewnych prób podreklamowanych przez osiedlowy klub „Emka” oraz nielicznych koncertów rockowych w hali „Gryfii”.

O skali przedsięwzięcia świadczyć może przygotowanie do dyspozycji młodzieży klubowych autokarów. Pozwoliło to zamraszać także kolonistów i wczasowiczów z Ustki, Jarosławca i Rowów. Na parkiecie „Czarni-Disco” konsekwentnie

realizowano program, zapewniając co wieczór dobry poziom imprezy — dlatego można uznać dyskotekę za nowe zjawisko w słupskiej kulturze.

Na dyskotekę bawiono się bez alkoholu. W sali tańca nie palono także papierosów. Było więc gorąco, ale nie od oparów i wyziewów. Jeszcze raz przekonaliśmy się, że młodzież, której zapewniono właściwe warunki do wypoczynku i rozrywki wcale nie ma ochoty na biatyki i rozróby. A przecież często pokutuje przekonanie, że dyskoteki są tylko rozsądnikiem zła i zeosucia. Obalenie tego mitu właśnie w Słupsku i w obiekcie klubu sportowego wystawia dobre świadectwo młodym mieszkańcom tego miasta i ich gościom prawie z całej Polski.

Tak więc, po pierwszym sezonie działalności dyskoteki można uznać, że spełniła ona swoją rolę lepiej niż prorokowali różni pesymiści i „gdybacze”. A co ważne, wypoczywająca w pobliżu Słupska młodzież miała gdzie spędzić deszczowe i upalne wieczory. Pierwsze doświadczenia zachęcają więc do kontynuowania tej próby.

ANTONI KUSTUSZ

Bez granic i cel

Najtrwalej narodziła się kultura. Ta sfera życia, mająca swe źródło w ludzkiej wrażliwości, w szlachetnym dążeniu człowieka do tworzenia piękna, jest ponad wszelkie różnice interesów, osobiste chęci i bariery formalne. Że język kultury nie zna granic, przekonaliśmy się przy okazji obchodzonych w Słupsku Dni Przyjaźni i Braterstwa z Obwodem Połtawskim.

Powszechnie znany jest wysoki kunszt, jaki reprezentują artyści amatorzy Związku Radzieckiego. Tylko w obwodzie połtawskim w zespołach amatorskiego ruchu artystycznego uczestniczy ponad 10 tys. osób. Korzystają oni z najlepszych wzorów wielowiekowej ukraińskiej kultury. A zwyczaj wspólnego śpiewania, gry na ludowych instrumentach, tańczenia na

uroczystościach rodzinnych jest również mocno ugruntowany w tradycji ludów ZSRR.

Podobnie z rękodzielnictwem artystycznym. Niewiele jest domów w Poławiu — opowiada tamtejszy plastyk — gdzie by ktoś z rodziny nie rzeźbił w drewnie, nie wyszywał, nie tkął dywanów lub kilimów, czy nie malował.

Część plonu artystycznego rzemiosła prezentowano w Słupsku. Ekspozycja w Muzeum Pomorza Środkowego była w pewnym stopniu odzwierciedleniem połtawskiego mieszkania. Wystawę aranżował artysta plastyk Władimir Iwanowicz Dieriabini. Mianowano go komisarzem wystawy sztuki ludowej obwodu połtawskiego, ponieważ na co dzień kieruje działem

DNI

PRZYJAŹNI

I BRATERSTWA

twórców ludowych w Naukowo-Metodycznym Centrum Kultury.

— Pracuję z nimi, wspomagam radą, kwalifikuję ich prace na wystawy. Przyjeżdżają do Centrum z całego obwodu — z Kremieńczuga, Mirgrodu, Reszećilowki. Nie ma dnia, żeby z setek utalentowanych młodych i starszych twórców ludowych, ktoś nie przybył po radę, czasami brakujące farb lub narzędzia, albo podzielił się pomysłem.

Światem dla naszych twórców są wystawy ich prac. Zwykle urządza się dziesięć takich ekspozycji w roku. Rękodzieła poławskich twórców amatorów objechały wszystkie republiki Związku Radzieckiego, pokazywane były wielokrotnie w Polsce, Bułgarii i Kanadzie. Ale większość ich zdobi wnętrza domów mieszkalnych, biura, nasz instytut i wcale nie różnią się poziomem od talerzy, figurek, obrazów wysyłanych w świat. Wykonywane są z własnej wewnętrznej potrzeby. Prezentowanie ich na wystawach, chociaż przynosi autorom ogromną satysfakcję, jest sprawą wtórną.

Na białym tle haftowane makaty Tatiany Zacerklianey — Rozmieściłem je tak, jak wiszą w poławskim domu — mówi W. I. Dieriabini — obowiązkowo na pobielonej ścianie. W szafkach za szkłem ceramiczne ornamentowane wazy. Helena Ustimienko swoje ozdobiła owocami wiśni. Waza Heleny Nowodarskiej ma kształt kuli ziemskiej. Na tym dwie dziecięce główki i napis „Pokój dzieciom”. Dalej kacił rodzinny: porcelanowe figurki Grigorija Posziwajlo i jego syna Mikołaja. Ceramiczne „diplomy” Tatiany Szurko i Waleriana Pieriegi przedstawiają rodzajowe scenki jarmarczne. Wyroby z gliny i innych materiałów ceramicznych mają wiele zwolenników, stąd nie brakuje różnorodnych form na wystawie w Szupsku. Jest serwis kawowy Mikołaja Misiutv, cały zwierzynek Mikołaja Kitrisza, misterna reliefowa rzeźba B. Kwaszy i świecznik ceramiczny oraz wrzeźbiony w talerz portret i pejzaż.

Kilka kroków dalej — wewnątrz kuchni, jakiej pozazdrościłaby każda pani domu — bowiem szafeczki, łwki, deseczki i inne przybory gospodarskie są wykonane z lipowego drewna kunsztowną ręką Mikołaja Zacierklianego. Ściany pokoi zdobią kilimy, takie same jak wisząca w Muzeum praca Leonii Towstuchy. Na stołach obrusy, serwety, serweteczki — haftowane ponoć identycznie jak przed wiekami, w tych samych kolorach i tym samym ścięciem. W Poławie króluje biały haft na białym płótnie lub wzory niebiesko-czerwono-

no-czarne. Charakterystycznym ścięciem są krzyżyki. Przywiezione do Szupski próbki umiejętności hafciarskich Heleny Basilienko, Niny Szczerbanych czy Antoniny Bielikodnej przyprowadzają o zawrót, zwłaszcza kobiecej, głowy. Są tak misterne i malownicze. Wyroby z makramów, które oglądałem, to dzieło małych dzieci, pracujących pod kierunkiem Natalii Lechowicz. Natomiast malarstwo, w szerokiej gamie tematycznej i technik, jest popularne wśród twórców w różnym wieku i różnych zawodów. Stąd na obrazach smutne sceny z lat okupacji, „zadumany” pejzaż i radosne twarze, metafora zdarzeń zatytułowana „Pamięci brata”, Iwana Nowobramicza, martwa natura Leoncewa Wisztala i mieniący się barwnymi punkcikami bukiet kwiatów Swietiany Czornej.

Przy wyjściu z wystawowej sali wisi bandura, klasyczny instrument ludowy bardzo popularny na Ukrainie. Tę wykonał Walentin Nagnibieg. Gra na własnoręcznie struganych bandurach, bajanach nie wyszła z tradycji naszych sąsiadów. Komisarz wystawy wielokrotnie w ciągu tygodnia goszczenia Poławian w Szupsku, opowiadał o rodzimym sztuce. W jednym dniu odwiedzał wystawę dziesiątki osób. Potem odwracały się role. Sam zwiedzał szupskie zabytki kultury, poznawał artystów współczesnych. — Zwiedziłem całe Muzeum i jestem szczęśliwy, że mogłem zobaczyć kolekcję dzieł Witkacego. Mam w domu jego reprodukcję, teraz mogłem zobaczyć oryginały.

Duże wrażenie na W. I. Dieriabinie zrobiły prace uczestników pleneru w Krzynie — grafiki w skórce. Jak oświadczył, będzie się starał, żeby u siebie zainicjować podobny plener, bowiem w Poławie jest również możliwość uzyskania z fabryk odpadów skórzanych.

Ponieważ specjalnością plastyczną naszego gościa jest scenografia, W. I. Dieriabini odwiedził Szupski Teatr Dramatyczny. Był na spektaklu i zgłosił propozycję wystawienia w STD najpopularniejszej w Poławie sztuki I. P. Kotłariewskiego „Natałka Poławka”, do której chętnie wykonałby scenografię.

Był zachwycony Szupskiem. — Gdybym miał czas — powiedział — malowałbym każdą ulicę śródmieścia i wszystkie dziewczęta tak pięknie kolorowo ubrane. Lepiej potrafiłbym wyrazić swój zachwyt pędzlem niż słowami, bo język sztuki nie zna granic.

MIROSLAWA MIRECKA

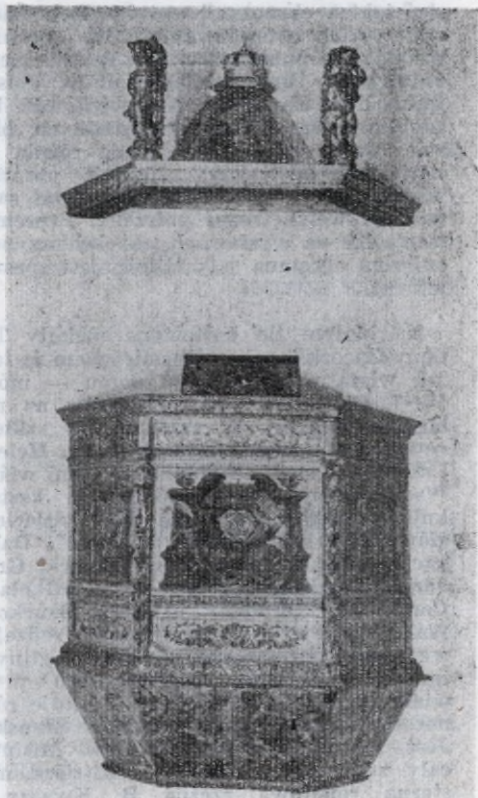
NIEZWYKŁEJ HISTORII CIĄG DALSZY...

Ambona czy karety?

„Ambona w kościele w Radaczu — zbudowana z trzech karet Sobieskiego znalazła się w zbiorach Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. W roku 1983 została wypożyczona (w związku z wystawą w Wilanowie „Triumf Jana III Sobieskiego”). Mimo ponagieł — do Słupska nie wróciła. Tyle dziś w stolicy kaszobów, że jeszcze jedna ambona też się przyda”.

W taki oto dowcipny sposób doniosła „Polityka” (nr 29 z dnia 21 lipca 1984 r.) w rubryce „Coś z życia” o sprawie, która niepokoi, a nawet bulwersuje mieszkańców naszego miasta, zwłaszcza zaś pracowników Muzeum Pomorza Środkowego. Rzeczą zaś dotyczy obiektu stanowiącego jeszcze kilka lat temu swoistą sensację muzealną. Historia ambony z Radacza jest chyba tak interesująca i zagmatwana jak historia ziemi, na której się znajdowała. W czasie wojen śląskich niemiecki generał von Kleist znalazł w Oławie trzy karety — króla Jana III Sobieskiego, heraldyczną i królewicza Jakuba. Generał przywiózł zdobyczne karety do swojej posiadłości w Radaczu k. Szczecinka i tam, chcąc przyozdobić niewielki wiejski kościółek, kazał wykonać z nich ambonę. Działo się to w roku 1742 i od tej pory ambona stała się przedmiotem kultu. Tutaj przybywali Polacy z całego Pomorza i oddawali cześć obiektowi związanemu z osobą naszego wybitnego króla. Dopiero po zakończeniu II wojny światowej i powrocie Pomorza do Polski pracownicy Muzeum Narodowego przewieźli ambonę do Warszawy, gdzie poddana została konserwacji. 23 stycznia 1967 roku dyrektor Muzeum Narodowego przekazał „w wieczysty depozyt” słupskiemu muzeum obiekt pod nazwą „Wóz triumfalny króla Jana III Sobieskiego” czyli ambonę z Radacza. Od tego czasu była ona jednym z najważniejszych obiektów stałej ekspozycji „Sztuka Pomorza Środkowego”. Kilka lat temu dr Żurawska z muzeum w Łańcucie odkryła historię ambony wykonanej z karet.

Dzisiaj próżno szukać w Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku ambony. W pustym miejscu wisi kartka informująca,



że w lipcu 1983 roku wypożyczyło ją muzeum w Wilanowie w związku z organizowaniem wystawy z okazji trzecieściecia odsieczy wiedeńskiej. Tam ambonę rozmontowano i jej elementy umieszczono na szkieletu konturowym karet. Np. jeden z boków ambony — to drzewiczki karety. I wszystko byłoby dobrze, gdyby po zakończeniu ekspozycji ten cenny zabytek powrócił do Słupska. Tak jednak nie jest, bowiem w Wilanowie zrodził się pomysł rekonstrukcji, kosztem 150 mln złotych, trzech królewskich karet i wstawienia do nich, niewielu przecież, elementów pochodzących z ambony.

Decyzje, jakie zapadły w Warszawie

nie rokuja nadziei na powrót ambony do Słupska. Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków, stanowiący departament Ministerstwa Kultury i Sztuki, podjął decyzję o przekazaniu ambony muzeum wilanowskiemu. W sprawie tej napisano już kilkanaście różnych pism, a ostatnio zajęła się nią Wojewódzka Rada Narodowa. „Za powrotem ambony do Słupska — mówi Alicja Konarska z Muzeum Pomorza Środkowego — przemawia kilka argumentów. Pierwszy chronologiczny — karety były karetami zaledwie pół wieku, ambona amboną — prawie ćwierć tysiąclecia. Nie bez znaczenia jest przecież fakt, że stanowiła ona obiekt kultowy świadczący o polskości Pomorza i patriotyzmie jego mieszkańców. Ponadto ziemia ta w wyniku wielu zawieruch

dziejowych została w znacznym stopniu ogołocona z zabytków. Ryzykowna wydaje się też sprawa rekonstrukcji karek. Nie wiadomo dokładnie jak wyglądały, i badania nad nimi prowadzone są jedynie porównawczo na podstawie karek, które znajdują się w muzeum w Lizbonie pochodzących mniej więcej z tego samego okresu. A poza tym — i chyba to jest najważniejsze — czy można dokonywać ponownych cięć na „żywym cielem” zabytku?”

A może bardziej uczciwie, po uwzględnieniu tych wszystkich argumentów, byłoby wykonanie po prostu kopii karek i pozostawienie ambony w takim kształcie, jaki nadano jej 240 lat temu?

BOGUSŁAW MATUSZKIEWICZ

Bez fanfar i bicia w dzwony...

... pojawiła się na muzycznej mapie Polski jeszcze jedna impreza, której druga edycja świadczy, że weszła już na stałe do kulturalnego kalendarza Słupska. Tak pisał Henryk Stiller we wstępie do programu II Słupskich Koncertów Muzyki Organowej i Kameralnej. Zamysł zorganizowania imprezy ma związek z Festiwałem Pianistyki Polskiej, kiedy to w gronie organizatorów — Krajowego Biura Koncertowego, Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, Wydziału Kultury i Sztuki UW oraz Muzeum w Słupsku zgodnie wysnuto wniosek, iż latem miasto głuchnie na muzykę. Na wybrzeżu tylko w Słupsku nie odbywały się koncerty organowe. Cieszą się one powodzeniem w Świnoujściu, Szczecinie, Kamieniu Pomorskim, Oliwie itd. Piękny zabytkowy zakątek, który tworzą Muzeum, Kościół św. Jacka, brama, Baszta Czarownic, aż kusił, by zorganizować tu imprezę przyciągającą publiczność. Wysokiej klasy instrument, niepowtarzalny klimat sali koncertowej w świątyni, znakomita akustyka — to trzeba było wykorzystać. I tak oto 30 sierpnia odbył się ostatni tegoroczny koncert. O kilka re-

fleksji poprosiliśmy Mieczysława Jaroszewicza, komisarza imprezy.

— Ile razy był pan na koncercie u św. Jacka?

— W każdy czwartek, poczynając od czerwca, o godzinie dwudziestej... I proszę wierzyć, że nie tylko z obowiązku organizatora, ale także z autentycznej potrzeby i chęci przeżycia wspaniałych wrażeń.

— Czy wykonawcy i repertuar zadowolili pana?

— Zadowolili przede wszystkim publiczność, o czym świadczyła liczna frekwencja i reakcje słuchaczy. Dodam, że przyjechali wykonawcy znakomici, np. organiści — Stanisław Moryto, Jarosław Malanowicz czy Józef Serafin. Dopisali także kameraliści i wokaliści. Wymienię choćby świetną Warszawską Orkiestrę Kameralną pod dyрекcją Mirosława Ławrynowicza, Aurelego Błaszczaka znakomitego skrzypka, wrocławskich „Cantores Minores Wratlaviensis” pod dyрекcją Edmun-



da Kajdasza, „Capella Bydgostiensis” prowadzona przez Włodzimierza Szymanowskiego. Podobali się słupscy madrygaliści, doskonały był Kazimierz Pustelak, Małgorzata Armanowska i inni. Niezapomniane wrażenia i niezwykłą atmosferę stworzył znany w kraju i za granicą Zespół Muzyki Cerkiewnej prowadzony przez Jerzego Szubra. Jak bardzo urzeczona była publiczność może świadczyć fakt, że po dwugodzinnym koncercie w kościele rozległy się głośnie brawa i domagano się bisów. To trochę niezwykła reakcja — zważywszy, że świątynia nie jest typową salą koncertową — ale ludzie byli tak wzruszeni, że nie mogli opanować entuzjazmu.

Repertuar był także bardzo urozmaicony. Prezentowani byli twórcy o światowej renomie — choćby Bach, Telemann, Haydn, Mozart, Schumann, Czajkowski, a także wielu współczesnych. Tak starannego wyboru muzyki i doboru wykonawców podjęło się Krajowe Biuro Koncertowe — główny organizator imprezy.

— Kto najczęściej przychodził na koncerty?

— Na koncert mógł przyjść każdy. Wstęp był bezpłatny. Ciągłe zabiegamy o popularyzację imprezy. Wielu przychodziło

przypadkowo. Większość jednak stanowiła publiczność stała. Była spora grupa słupskich melomanów, którzy uczestniczą zawsze w imprezach muzycznych, było dużo młodzieży, przychodzili i przyjeżdżali turyści.

— Czy zagraniczni także?

— Tak, właśnie dla nich, a ściślej dla uczestników caravaningu w Lebie przygotowaliśmy specjalne koncerty — w kościele i w Sali Rycerskiej Zamku. Byli bardzo zadowoleni, nie szczędzili braw i słów podziękowania. Oczywiście, każdy koncert poprzedzony był słowem wstępnym tłumaczonym na języki obce.

— Jaka była opinia wykonawców o instrumencie.

— Konserwacją organów zajmuje się wyspecjalizowana firma warszawska p. Edmunda Kaminskiego. Instrument nie osiągnął jeszcze pełnego brzmienia barokowego, ale wmontowano nową, zakupioną w RFN dmuchawę, dokonano wielu zabiegów konserwatorskich. Pan Kaminski dobrze sprawuje pieczę nad tym wysokiej klasy instrumentem, jednak wymaga on jeszcze sporo pracy. Dodam, że konserwację części zabytkowej prowadzi p. Wójcik z naszego muzeum.

— Impreza ma dopiero dwa lata. Czy już dziś można mówić o ukształtowanym profilu, czy też organizatorzy zamierzają ją jeszcze doskonalić?

— Uważam, że doskonalenie powinno być procesem ciągłym. I chyba nigdy nie będziemy zadowoleni. W tym roku wprowadziliśmy muzykę kameralną i wokalistykę. Ta zmiana wynika z ubiegłorocznych doświadczeń. Doszliśmy do wniosku, że brzmienie samych organów jest piękne, ale słuchanie ich przez dłuższy czas nuży. Wprowadzenie innych instrumentów znakomicie wzbogaca koncert. Dalej — rok temu spotkania odbywały się co dwa tygodnie, obecnie już co tydzień.

Myślimy o szerszej, lepszej reklamie, bo nie wszędzie jeszcze docierała informacja o programie i wykonawcach. Kulała informacja prasowa, nie zawsze turyści mogli dowiedzieć się o koncertach. Tuż po zakończeniu tegorocznej edycji szczegółowo omówimy wszystkie pluse i minusy, wyciągniemy wnioski na przyszły rok. Najważniejsze, że dziś już wiemy na pewno, że ludzie chcą, by impreza przeżywała, przychodzi, słuchają. A do zrobienia jest jeszcze bardzo wiele. Najlepiej przed nami...

— Oby! Dziękuję za rozmowę.

Zanotowała
ELŻBIETA POTURAJ

TOWARZYSTWO KULTURY TEATRALNEJ

Oddział Miejski w Człuchowie

ogłasza

I Pomorski Konkurs Recytatorski w 40-lecie PRL

REGULAMIN

I

1. Konkurs jest imprezą otwartą.
2. Uczestnicy konkursu występują w dwóch kategoriach:
 - a) młodzieży szkół ponadpodstawowych, b) dorosłych
3. Repertuar obejmuje 2 utwory w całości lub fragmentach:
 - utwór poetycki, — prozęŁączny czas wykonania utworów nie może przekroczyć 10 minut.
4. Recytatorska prezentacja wybranych utworów może być wzbogacona o środki teatralne jak: gest, ruch, światło, muzyka, elementy scenografii, jeżeli służą one twórczej interpretacji tekstu.

II

1. Uczestnicy konkursu przygotowują do prezentacji utwory poetów i pisarzy Pomorza Środkowego, Zachodniego lub Pomorza Gdańskiego.

III

1. Oceny recytacji dokona jury powołane przez organizatorów.
2. Oceniając program jury weźmie pod uwagę:
 - dobór repertuaru (zgodność z regulaminem, walory artystyczne i ideowe, dobór do możliwości wykonawczych uczestnika)
 - interpretację utworu
 - kulturę słowa
 - ogólny wyraz artystyczny
3. Podstawą do sformułowania werdyktu jury jest wysłuchanie przez każdego członka jury wszystkich uczestników konkursu.
4. Uczestnicy mają prawo do zwracania się do jury o uzasadnienie werdyktu ogólnego oraz oceny poszczególnych uczestników.

IV

1. Warunki uczestnictwa w konkursie:
 - a) zgłoszenie udziału w konkursie do dnia 25 września 1984 roku w sekretariacie konkursu — **Miejski Dom Kultury, ul. Armii Czerwonej 5, 77-300, Człuchów, tel. 11-32**
 - b) zgłoszenie należy przesłać na załączonej do regulaminu karcie zgłoszenia (dokładnie wypełnionej i potwierdzonej pieczęcią przez instytucję delegującą)

V

1. Wszyscy uczestnicy konkursu otrzymają pamiątkowe znaczki i dyplomy.
2. Laureaci konkursu otrzymają nagrody ufundowane przez organizatorów i współorganizatorów konkursu.
3. Organizatorzy przewidują ufundowanie nagrody specjalnej dla najlepszego recytatora wyłonionego w plebiscycie publiczności.

VI

1. Koszty pobytu uczestników konkursu i instruktorów w dniach od 26 do 28 października 1984 roku pokrywają organizatorzy.
2. Koszty przejazdu: instytucje i organizacje delegujące.
3. Sekretariat konkursu mieści się w Miejskim Domu Kultury, ul. Armii Czerwonej 5, 77-300 Człuchów, tel. 11-32.
4. I Pomorski Konkurs Recytatorski odbędzie się w Człuchowie, w dniach od 26 do 28 października 1984 roku.

ZD

ZDZISŁAW DRZEWIECKI

* * *

smutna przyjacielu i złowroga to cisza
opuszczone semaforey jak zmęczone dłonie
Leopolda który jeszcze przychodzi tu grywać
zagubionym
idźmy więc do winnic szerokich ale przedtem
domowe konfitury i słowo matki na podróż dalsze
azyl to bowiem doskonały
roztrwoniłiśmy zbyt wiele słońca wschodów
i zachodów
niewspółmiernie kuszących
opowiadaj mi o swoich kobietach i trwajmy
śmierć przyjacielu to tylko mała
ćma bijąca nerwowo w nasze lustra

* * *

matko ile słów czułych
odleciało za tobą
jaskółki znów krążą
nad głodną ziemią
ojciec czuje się lepiej
całymi dniami naprawia karabin
i mówi że szykuje się do wojny
czyja to wina matko
dłonie mam czyste usta
zagadane w modlitwie
na ścianie wciąż wisi ten sam
święty obrazek jakby nastuchiwał
twoich kroków matko

* * *

każdego ranka babka wstaje z uśmiechem
na czerstwej twarzy
krząta się po mieszkaniu ściera ze stołu
okruchy dwóch wojen wciąż opowiada o swej
podróży za Atlantyk
to było dawno i nie jest już pewna czy była
tam naprawdę wciąż jej się wydaje że ukrywa
tych dwóch zaszczytnych Żydów więc każdego dnia
kupuje jeden bochenek chleba więcej
i przy wejściu na klatkę schodową kryje go pod
fartuchem przed wzrokiem sąsiadów wieczorem
owija modlitwę w starcze dłonie w obawie
by i tego jej nie zabrano gdy proszę by opowiedziała
o dziadku długo wpatruje się we mnie i opowiada
o swej podróży za Atlantyk

* * *

miałem sen
wieloryby odpływały od
mojej ziemi obiecanej
zapach morza mieszał się
z zapachem twego ciała
to bezustanne wędrówki nasze
do nadpalonego krzyża
na brzegu było pusto
tylko kilku rybaków ciągnęło
sieci z własnymi córkami
niedopalone świece
przypominały o siedmiu grzechach
głównych modliłem się tylko o to
by morze w tobie nie ucichło

15.02.83.

Przesadą byłoby stwierdzenie, że kolejarze drzwiami i oknami pchają się do Domu Kultury Kolejarza. Prawdą natomiast jest, iż żadna placówka nie dorównała mu bogactwem oferty kulturalnej kierowanej do załogi.

Nic na siłę...

JOLANTA NITKOWSKA

Historia Domu Kultury Kolejarza jest prawie zgodna z zawodowymi losami jego dyrektorki — Romany Kozak, która zaczęła w nim pracować przed 28 laty. Dziś pani Roma z rozrzewnieniem wspomina lata 1957—64, kiedy to całe rodziny garnęły się do organizacji imprez. Tamta atmosfera spontaniczności, masowości i zaangażowania już nigdy potem się nie powtórzyła. Przekształcał się sposób pracy domu kultury. Coraz częściej instruktorzy musieli szukać uczestników imprez, coraz rzadziej sala „pękała w szwach”. Niestrudzona pani Roma ciągle szukała nowych rozwiązań. Na poczekaniu przekształcała programy, eliminując z nich to, co nie zyskało uznania kolejarzy. Jej ruchliwość i przedsiębiorczość stała się na kolei prawie przysłowiowa. Jeszcze dziś DKK eksperymentuje, tyle że nad sposobami uaktywnienia młodzieży. Udało się wypracować wiele ciekawych propozycji dla dzieci i dorosłych. Wiele z nich przydałoby się przenieść do innych domów kultury, w których działacze od lat narzekają, że w zakładach pracy nie można niczego zrobić.

Regułą działalności DKK jest specyficzna dwutorowość. A więc po pierwsze — proste, masowe imprezy rekreacyjne i rozrywkowe kierowane do całych rodzin. Po drugie — kameralne zajęcia w sekcjach i kołach zainteresowań przeznaczone dla niewielkich grup uczestników. Działają tu teatrzyk kukiełkowy, teatr dla młodzieży, sekcja fotograficzna, zespół muzyczny, unikalna sekcja metaloplastyczna, kursy języków obcych (4), kroju i szycia oraz niesłabnącym powodzeniem

ciesząca się nauka tańca towarzyskiego. Sekcje niby takie same a jednak inne. Zrezygnowano tu z pretensjonalnej a powszechnej w wielu placówkach konieczności robienia SZTUKI na siłę. Tajemnicą powodzenia sekcji jest ich nastawienie na praktyczność, użyteczność, możliwość przeniesienia umiejętności tu zdobytych w zacisze domowe, na spotkania z przyjaciółmi i znajomymi. Trochę inne cele przyświecają artystycznej edukacji dzieci kolejańskich. Koncepcje Romany Kozak dotyczą jednak całej sfery działania tej skromnej (a nawet więcej niż skromnej) placówki.

Dom Kultury Kolejarza ma jeszcze jedną zaletę — otwartość. Nie chodzi tu oczywiście o łatwy wstęp, ale o szybkie i umiejętne dostosowywanie się do przejściowych mód, zmiennych gustów, nowych potrzeb. Była moda na japońskie sztuki walki, więc DKK zaproponował młodemu pokoleniu kung-fu. Nie przeszkadzało, że jest to zajęcie z pogranicza kultury i sportu. Służyło wypoczynkowi po pracy. Jeżeli we wrześniu okaże się, że do Słupska trafi moda na uprawianie jogi, ręczę, że dyrektorka DKK pierwsza znajdzie sposób na założenie koła miłośników tej sztuki.

W placówce nie ma biurek, ani sekretarek są za to wspaniałe umiejętności organizatorskie i zaangażowanie nielicznej załogi. Nie wszystko się udaje. Wiele jest kłopotów i potknięć, chybionych propozycji. Musi jednak mieć prawo do robienia błędów ten, kto szuka nowych rozwiązań. Dom Kultury Kolejarza nie zrezygnował z prowadzenia masowych imprez



rekreacyjno-rozrywkowych dla własnej załogi. Nikt nie krzywi się na to, że festyn rekreacyjno-sportowy niewiele ma wspólnego z ambitnym upowszechnianiem sztuki.

— Żadnej nachalności, żadnego przymusu w robieniu imprez nie toleruję — mówi Romana Kozak. — W każdej z nich można „przemycić” cenne wartości, tak że uczestnicy biorący udział w rodzinnym festynie, np. w Krzynie, stają się uczestnikami imprezy kulturalnej, mimo że nie można ich namówić do uprawiania żadnej dyscypliny artystycznej.

Rodzinne festyny rekreacyjno-sportowe, w których każdorazowo bierze udział kilkaset osób, są imprezami ogromnie pracowitościami, ale podnoszą aurytet pracowników placówki organizujących konkursy, zabawy, występy zespołów i sekcji DKK. Bardzo często imprezy te mają charakter weekendowy. Placówkę zamyka się na klucz, a jej załoga wyjeżdża do Runowa razem z kolejarskimi rodzinami. Raz w miesiącu odbywają się też imprezy sobotnio-niedzielne. W styczniu był to kulig, w lutym topienie Marzanny, w kwietniu wycieczka w okolice Kartuz, w maju festyn rodzinny, w czerwcu mini-olimpiada dla dzieci... Przykłady można mnożyć. Wartością tych imprez jest ich rodzinno-koleżeński charakter. Nie wiem, czy Dom Kultury Kolejarza nie jest jedyną w województwie placówką, w której ostały się tradycje kultury popularnej. Jeżeli jeszcze się gdzieś o nich pamięta, to otacza je zupełna cisza. Na jeszcze jedną ważną sferę działalnoś-

ci, która przyczynia się do integracji załóg robotniczych warto zwrócić uwagę. Cztery razy w roku (od 1973 r.) organizuje się w sali widowiskowej imprezy estradowe adresowane do przodowników pracy. Wbrew opiniom, że współzawodnictwo pracy się przeżyło a wyróżnianie się nie ma sensu, impreza ta za każdym razem staje się małym świętem. Są kwiaty i dyplomy dla wyróżniających się pracowników, są specjalne zaproszenia oraz specyficzna organizacja koncertu dla ludzi dobrej roboty. Chodzi o to, że zwierzchnicy poszczególnych służb prześcigają się w sposobach prezentacji swoich wyróżnionych pracowników, żeby kogoś umieć pochwalić, trzeba go znać — taką dewizą kierują się naczelnicy, a rangę imprezie nadała sama załoga PKP. Zaproszenie na koncert dla ludzi dobrej roboty jest traktowane jako wyróżnienie i nie zdarza się, żeby ktoś z niego nie skorzystał. Do roku 1980 przeprowadzano na kolei doroczny plebiscyt na „Kolejarza Roku”. Istotą tej akcji było wybranie człowieka, który szczególnie się wyróżnił w pracy. Wybierali go współpracownicy. Z plebiscytu wyłączono całą kadrę kierowniczą uznając, że powołana jest do szczególnie starannej pracy. „Kolejarzami Roku” byli: Kazimierz Wasiński, Tadeusz Sikorski, Mieczysław Kuropatwa, Leon Stachowicz. Wszyscy — robotnicy. Pani Roma nie ma wątpliwości, że do plebiscytu trzeba będzie powrócić.

Takie były początki

JAN SROKA

Kino powstało jako rezultat długiego ciągu prac badawczych inspirowanych zamilowaniem człowieka do operowania światłem i cieniem oraz marzeń o stworzeniu narzędzi, które byłyby zdolne oddać bogactwo świata. Ich początków należy szukać u Araba Alkazana (studia nad okiem ludzkim), Archimedesesa i Arystotelesa (teoria optyki), Leonarda da Vinci (camera obscura), tradycji latarni magicznej oraz szeregu wynalazków XIX wieku — fotografia, celuloidowa taśma wynaleziona przez Eastmana, „strzelba fotograficzna” Mareya, którą rozbił ruch na fazy, perforowana taśma Reynnada.

W 1884 roku Edison realizował filmiki fabularne, które mogły być oglądane przez jednego widza. Nad kinematografem pracowano jednocześnie w kilku krajach: w Ameryce — Amatów, w Polsce — Prószyński, w Anglii — Friese-Green, w Niemczech — Składanowscy, w Rosji — Timczenko. Aparat Lumière'ów pierwszy osiągnął taki stopień doskonałości technicznej, że można go było zademonstrować publicznie.

Bracia August i Louis Lumière, fabrykanci z Lyonu, filmowali prozaiczne sceny z życia: śniadanie dziecka, pływanie łódką po morzu, wyjście robotników z fabryki, wjazd pociągu na stację. Instuicyjnie rozumieli, iż ciekawość pobudza odbicie rzeczywistości, jej ekranowy obraz. Z kinematografem nie wiązali dużych nadziei. Po zaspokojeniu ciekawości widzów miał służyć przede wszystkim nauce.

Za narodziny kina przyjmuje się tradycyjnie datę pierwszego płatnego pokazu filmowego, który miał miejsce w Paryżu 28 grudnia 1895 roku. Lumière'owie zademonstrowali na nim kilka krótkich, półminutowych filmów dokumentalnych, które były w większym stopniu dziełem aparatu niż człowieka. Udział twórców ograniczał się do wyboru tematu i uruchomieniu kamery. Jeden z pierwszych sprawozdawców pisał po tym pokazie: „Po raz pierwszy jesteśmy świadkami syntezy, wprowadzicie jeszcze niedoskonałej, życia i ruchu, a przecież cudowny aparat jest dopiero u progu swej egzystencji. Poczekajmy lat parę. Kolorowa fotografia odda mu swe siły, fonograf przyniesie dźwięk, złudzenie będzie całkowite”.

Bracia Lumière nie mieli ambicji tworzenia widowiska. Realizował je będzie Georges Melies — człowiek teatru, reżyser, aktor, iluzjonista. Chciał powtórzyć w kinie to, co było możliwe w teatrze. Zamiast życia na gorąco świadomie projektował widowisko. „Absolutnemu realizmowi Lumière'ów — pisał Edgar Morin — odpowiada absolutny nierealizm Meliesa. Wspaniała antyteza, która spodobałaby się Heglowi. Z niej zrodziło się kino, synteza kinematografu Lumière'ów i feerii Meliesa”.

Filmy Meliesa, z których najslawniejsze to: „Podróż na księżyc” (1902), „Podróż do krainy niemożliwości” (1904), „Zdobycie bieguna” (1912), są pomysłowe w wyborze tematów oraz bogate w rozwiązania techniczne. Melies w inny

sposób wykorzystał kamerę. Tricky i fantastyka to dokonana przez niego rewolucja, która przeobraziła spektakl filmowy. Za pomocą obrazów nakładanych, podwójnej ekspozycji, zaciemnień, rozjaśnień i montażu wprowadza do filmu zjawy i upiory. Wszystkie prestidigitatorskie „sztuczki” Meliesa przemieniają się w kluczowe środki, jakimi dysponuje sztuka filmowa, stają się technikami ekspresji realistycznej. W 1907 roku tak pisał o swoim kinie: „*Inteligentnie zastosowany trick, przy pomocy którego można uczynić widzialnym to, co jest nadprzyrodzone wymyślone i nierealne, pozwala stworzyć obrazy prawdziwie artystycznie, sprawiające ogromną przyjemność tym wszystkim, którzy potrafią zrozumieć, że wszystkie gałęzie sztuki współczesniczą w ich wykonaniu*”.

Georges Melies związany z teatrem zachował w filmie stałą odległość między sceną a obiektywem. Angielscy filmowcy W. Friese-Greene, J. Williamson, G. A. Smith, współcześni Meliesowi, nawiązali do tradycji latarni magicznej. To przyczyniło się do zerwania z jednością planów i stosowania montażu. W filmie „*Mysz w szkole sztuk pięknych*” wprowadzili do filmu zbliżenie. Chętnie realizowali również filmy w plenerze. Działali w Brighton. Stąd często określa się ich twórczość mianem „szkoły z Brighton”.

W pierwszych kilkunastu latach istnienia kina, w okresie tzw. kina jarmarcznego stopniowo zwiększał się czas trwania filmów, od dwudziestu do trzydziestu metrów, ale nie ulegała zmianie taktyka. Dominowały historyjki tragiczne i komiczne przeplatane aktualnościami. Każdy rok przynosił tysiące filmów. Publiczność z przedmieść mimo monotonnego repertuaru chętnie uczęszczała do kina. Twórcy nowej sztuki chcieli jednak zdobyć także inną widownię — bywalców teatrów i sal koncertowych. Takim cel stawiali sobie twórcy wytwórni „Film D'Art”. 17 listopada 1908 roku odbyła się premiera pierwszego filmu tej wytwórni „*Zabójstwo księcia Gwizjusza*”, którego współtwórcami byli: komediopisarz Henri Lavedan, członek Akademii Francuskiej, autor scenariusza; w roli głównej wystąpił Le Bargy, aktor pierwszej sceny teatralnej Paryża Comédie Française, a muzykę, wykonywaną przez orkiestrę, napisał Saint Saëns. Ani jednak fabuła, ani sposób jej przedstawienia nie wносиły do filmu nic nowego. Próba uszlachetnienia kina przez przeszczepienie na grunt filmu konwencji teatralnej okazała się chybiona. Adolf Brisson po premierze „*Zabójstwa Księcia Gwizjusza*” pisał: „Kino nie jest konku-

rencją teatru. Kino wzbogaca tylko tęsknotę, przyczynia się do nostalgii za teatrem. Naśladownictwo, jak to często się zdarza, każe nam wzdychać do oryginału. Znaczenie „Film D'Art” polegało na zainteresowaniu kinem wybitnych ludzi pióra. W filmie zaczęli także występować znani aktorzy teatralni, m. in. Sarah Bernhardt.

Wbrew prognozom Maurycego Maeterlincka, iż „razem z karuzelą i fonografem, znajdzie się kino na wygnaniu w amerykańskich koloniach” (1914 r.), kino uczy się szybko od starszych sztuk, doskonaląc swój język. W 1915 roku odbyła się premiera „*Narodzin narodu*”, w rok później „*Nietolerancji*”. Ich twórcą był amerykański reżyser David Wark Griffith, który przeszedł do historii kina jako autor podstawowych środków filmowej narracji. Systematyzując dotychczasowe osiągnięcia warsztatowe stworzył podstawy filmowego języka. Źródłem inspiracji Griffitha była realistyczna powieść XIX wieku, zwłaszcza proza Dickensa. Rozwinał przede wszystkim montaż, umiejętnie spletając kilka wątków równoległych, przeplatając sceny należące do różnych akcji przy zachowaniu ich ciągłości. Potrafił także różnicować plany i ustawienie kamery, w pełni świadomie operował zbliżeniem. Dzięki temu zreformował sposób gry aktorskiej pozbawiając go teatralnego patosu. Dzięki montażowi jego filmy pełne są napięcia i dramatyzmu. „*Nietolerancja*” jest jego najwybitniejszym filmem. Składa się z czterech opowieści dziejących się w różnych epokach — przedstawiają one upadek Babilonu, Mękę Chrystusa, Noc św. Bartłomieja oraz epizod współczesny — matka i prawo. Nowatorstwo filmu polega na zastosowaniu montażu równoległego nie tylko w celach narracyjnych, ale i filozoficznych. Cztery historie zostały przemieszane. Wszystkim epizodom w zamyśle reżysera towarzyszyła ta sama koncepcja filozoficzna — źródłem wszelkiego zła jest nietolerancja. Poszczególne części łączą obraz kobiety kołyszącej dziecko — symbol wiecznie odradzającej się ludzkości. Metafizyczny sens nietolerancji, który chciał Griffith zilustrować filmem nie dotarł do odbiorcy. Znakomity film okazał się kłęską artystyczną twórcy. „*Zmęczenie wywołane przeładowaniem filmu w dużej mierze przekreśliło zamierzony efekt*” (W. Pudowkin). Mimo odrzucenia filmu przez ówczesnych widzów Griffith dowiódł, że kino nie tylko pokazuje rzeczywistość, bawi i wzrusza, ale także potrafi pobudzać myślenie.

Plon szóstego Ogólnopolskiego Pleneru Ceramików w Starym Gronowie trudno opisać. Trzeba go zobaczyć. Sala dyskotekowa gościnnego Domu Kultury w Debrznie wypełniła się ceramiką dużej urody.

Niepotrzebny plener ?

Zorganizowany po raz pierwszy w 1978 roku dzięki inicjatywie słupskich artystów-plastyków i leborskich działaczy kultury, plener ten posiadał hasło wywoławcze: „ceramika dla architektury”. Stopniowo hasło to stawało się czczym życzeniem organizatorów i uczestników, aż wreszcie pozostało dalekim echem dźwięczącym w kilku zaledwie pracach na ostatnim spotkaniu w Starym Gronowie. Polskiego budownictwa nie interesują propozycje artystów? Bo też która rodzina wiążąca z trudem koniec z końcem, będzie urządziła mieszkanie meblami z Desy?

Powyższa analogia z sytuacją w naszym budownictwie (o architekturze domów mieszkalnych trudno tu mówić) jest uzasadniona. I zasługuje na oddzielne omówienie przy innej okazji.

Spotkania z przedstawicielami Gdyńskich Zakładów Ceramiki Budowlanej i Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Słupsku poprzedzające plener pozwalały na optymistyczne prognozy: instytucje te są zainteresowane produkcją artystyczną ceramików, ale z braku finansów rezygnują. Natomiast ci, których stać na użycie kształtek i innych elementów plastycznych — prywatni właściciele domków jednorodzinnych — nie wiedzą o tych propozycjach nic, bowiem nie wydaje się prospektów reklamowych.

Czy zatem rodzi się sztuka dla sztuki? Ależ nie, artyści tworzą ceramikę artystyczną do wnętrz kameralnych, oczywiście nie w celu ich powielania. Pozostają po plenerach tylko rzeczy unikalne.

Glina jest tworzywem posłusznym, dającym się formować — jak plastelina. Niespodzianki — także samym autorom

— robi dopiero po włożeniu do pieca. Zwłaszcza za sprawą użytych barwnych szkliv, tlenków metali i angoby. Trzeba niemałego doświadczenia, aby uzyskać pożądane efekty. Proces „produkcyjny” wymaga dłuższego czasu. Toteż w Starym Gronowie artyści przebywali w tym roku od 2 lipca do 10 sierpnia.

Wioska Stare Gronowo ma sporo uroków, warunki do życia i pracy — aczkolwiek dalekie od komfortowych — są niezłe, przyciągają nieliczny lecz niemal stały komplet artystów. Poza gościnnością mieszkańców, dyrekcji szkoły (kwaterunek i żywienie) i załogi Cegielni (pracownia) na powodzenie tych spotkań ogromny wpływ miała komisarz wszystkich sześciu plenerów: Lucja Włodek. Niespożyta energia i optymizm cechują znaną rzeźbiarkę słupską. Udzielał on się wszystkim i zagrzewał do roboty.

10 sierpnia 1984 r. uczestniczyłam w uroczystym zakończeniu VI Pleneru połączonym z otwarciem wystawy poplenerowej w Debrznie. Na „wernisażu” kontakt z dziełem jest krótki i trudno o koncentrację. Moja relacja może być powierzchowna i w ocenie rozmiać się z intencjami autorów prac. Czytelnik „Gryfa” będzie miał okazję do własnej oceny na powtórny pokaz w listopadzie br. w Galerii BWA „Baszta Czarownic” w Słupsku.

To, co w pierwszym rzędzie narzuca się obserwatorom tych ogólnopolskich spotkań rzeźbiarzy i ceramików jest godne podkreślenia: uderza różnorodność tematyki, rozwiązań formalnych i technicznych. Pracujący obok siebie, w jednej hali cegielni tworzą prace tak odrębne, jak bywało tylko wśród silnych indywidualności.

Na sukcesy polskiej ceramiki ostatniego 40-lecia największy wpływ miały dwa ośrodki artystyczne w kraju: gdański i wrocławski. Na plenerach w Starym Gronowie przeważają absolwenci uczelni wrocławskiej.

Dobrze się stało, że w bieżącym roku zaproszono dwoje nowych twórców z Dolnego Śląska: z Wrocławia i Oleśnicy. Wnieśli trochę „świeżej krwi” do zespołu stałych bywalców. Zestawienie obok siebie „malarzkich” prac Eugeniusza Molskiego z oszczędnymi w rysunku, syntetycznymi rzeźbami ceramicznymi Stanisława Wiacka jest korzystne dla obu artystów — poprzez kontrast. E. Molski jest wierny naszemu plenerom od początku. Jest też najbardziej płodny: tworzy zarówno ceramikę użytkową (kształtki) jak i dekoracyjną; modeluje figury pełne, ale także monumentalne płaskorzeźby (tryptyk poświęcony księżnej pomorskiej Annie de Croy), wazy i świeczniki. Wszystkie jego prace cechuje miękka, malarska forma, bogactwo faktur i „smakowanie” kolorowych szkliw imitujących emalie, a nawet drogie kamienie. Z powodzeniem zastosował też technikę „raku” (rodem z Japonii), dla której potrzebna temperatura do wysokości +800°C. Polega ona na stopniowej redukcji szkliwa z powierzchni wypalanej gliny. Nowością w zestawie prac tego artysty, dotychczas afirmującego raczej sensualne zjawiska życia, są trzy figury świętych: Madonny, Św. Anny Samotrzeciej i Św. Urszuli z córkami. Wzdłużone sylwetki tych kobiet, zarówno ikonograficznie jak wyrazowo odbiegają od znanych schematów i jako święte nie prowokują uczuć religijnych.

Także Henryk Suder wykonał rodzaj kaplicy z postaci stojącej Madonny, wieńcząc jej głowę nimbem w kształcie mawerka, inspirowany gotykiem podczas wycieczki do niedalekiego Chelmsa. Ciekawsza pracą tego artysty, w jego dotychczasowym stylu jest reliefowo potraktowana „Msza h-moll J. S. Bacha”. Do datkowym elementem ożywiającym pracę Sudera są pełgające płomyki świec sugerujące przestrzeń i ruch.

„Erotyki” (moje określenie) Stanisława Wiacka, wykonane z dużą kulturą, o oszczędnej formie i kolorystyce są wyjątkowo zadowolone właśnie poprzez „erogeny” ich charakter. Są tak różne od prac pozostałych autorów, że budzą respekt.

Twórczość ta stanowi też kontrast z oronozycją Łucji Włodek. Jej dzieci—ważki i dzieci—ćmy kojarzą się z postaciami Calineczki z bajki Andersena: urodzonej przez kwiat tulipanu, narzeczonej kolejno

— syna ropuchy, chrabąszcza i kreta, a wreszcie wydanej za ducha kwiatów. Uskrzydłone istoty zaplątane są w ne-nufary, niezapominajki i inne ziele. Ich czar nieco drapieżny niepokoi jak chimera. Metamorfoza słodkiego dziecięcia w drapieżną, nienasyconą postać ważki akcentuje korelację stosunków dzieci—rodzice.

Ceramikę Barbary Cichockiej, zwieżną w duchu secesji cechuje wyjątkowy wdzięk. Ptaki fantastyczno-symboliczne o skrzydłach jak motyle, postacie pięknych kobiet w historycznych strojach, wszystko to wyczarowane w szamocie o dyskretnych kolorach i delikatnym rysunku.

Jerzy Stroiński stworzył serię donic i waz w formie głów Fauna i nimfy, azurowych i lekkich. I jak większość uczestników wykonał coś ze sztuki sakralnej: krucyfiks umieszczony w kapliczce, którą jest postać Marii.

Reliefy wkleśłe na kształtkach Jadwigi Adamczewskiej-Miklaszewskiej wyróżniają klasyczny spokój: tłum postaci o smukłych sylwetkach kroczących tanecznym korowodem urzeka kulturą barw: sepii na czarnym tle. Relief przeobraża się w płaski rysunek abstrakcyjny będący repliką realistycznego rozwiązania, a czerń tła płaszczyzn przyjmuje barwę terakoty.

Ceramika małżeństwa Julii i Władysława Flisów wyróżnia się zdecydowanie użytkowym przeznaczeniem. Wazony i świeczniki tak potrzebne w każdym domu pyszną się urodą anoby i matowych szkliw. Twórczość pani Julii charakteryzuje większe bogactwo form i elementów dekoracyjnych. Pan Władysław jest powściągliwy. Jego wazony, zróżnicowane w wielkości, zdobi ten sam ornament: wiew motywu kwiatowego lub pawiego pióra.

Rozpiętość poziomu artystycznego na omawianej wystawie jest oczywista, nawet w grupie prac jednego autora. Obok rzeczy dobrych, dojrzałych artystycznie sąsiadują „puszczane” w pośpiechu niewypały. Powiedziałabym, że jest to ułomność przepisaną twórczości plenerowej, gdzie brak dystansu od koncepcji do wykonania, a nawet niezbędnych prób, zwłaszcza w tej dyscyplinie. Jednakże główny cel jakim było poszukiwanie różnych rozwiązań metodą studyjną w nowych dla artystów warunkach — poza własną pracownią — został osiągnięty. Nie sądzę aby wszystkie powstałe w Starym Gronowie prace były przez autorów traktowane jako rozstrzygnięcia ostateczne.

TERESA SKÓROWA

Wrzesień to pora układania w placówkach kulturalnych programów działania, prognoz, przedstawiania nowych propozycji. Dla wielu wiejskich działaczy oznacza on początek codziennej krzątania, bojów o stare, nie załatwione sprawy i niespokojnego wyczekiwania na lepsze czasy. O oczekiwaniach, nadziejach i planach z dyrektorką Gminnego Ośrodka Kultury w Koczale — Janiną Jankiewicz rozmawia Jolanta Nitkowska.

Na progu nowego roku kulturalnego

— **Zacznijmy od ubiegłorocznych rezydentów. Jakich starych spraw nie rozwiązano na wsi do tej pory?**

— Od kilku lat działaczy wiejskich trapi nie rozwiązana sprawa zakupów. Wygląda to tak, że przypadkowo dowiadujemy się o sprzęcie muzycznym, który można kupić np. w Słupsku. Zanim ktoś z nas dotrze do Słupska, półki w sklepie są już puste. Postulowaliśmy na naradach, żeby Wojewódzki Dom Kultury stał się w tych trudnych czasach naszym pośrednikiem przy zakupach sprzętu. Wszystko wskazuje na to, że i w tym roku nie będzie zmian na lepsze. Nadal wiejskie placówki nie będą mogły niczego kupić, bo priorytety dla wsi ciągle najlepiej wyglądają na papierze. W rzeczywistości nie istnieją. Trapi mnie to ogromnie, bo świetlice, którymi się opiekuję są najczęściej wyposażone w bardzo stare, zbite z desek ławy i „kulejące” stoły. Takie wyposażenie nie zachęca do ich odwiedzania. Dwukrotnie już pisała pani o tym, że nie mam w placówce maszyny do pisania i telefonu. Nadal ich nie mam... Obiecywano sprawę załatwić, ale na obietnicach się skończyło. Takie właśnie, pozornie błahe, brakujące przedmioty są utrapieniem w codziennej działalności. GOK-owi nie przyznano takiej liczby etatów, ilu wymaga obiekt o kubaturze przeszło 1000 m³. Znowu będę musiała się dobijać o etaty dla palacza i sprzątaczkę, bo do zimnego, zagrzybionego obiektu nawet najbardziej zaangażowani

społecznicy nie przyjdą. Nie ma sposobów na załatwienie tej sprawy. Aż trudno uwierzyć, że ciągnie się ona kilka lat.

— **Od czego zacznie pani działalność w nowym roku kulturalno-oświatowym?**

— Od spotkania ze społecznikami. Oni są filarem działalności Gminnego Ośrodka Kultury i liczę na to, że także w tym roku będą pracować z zespołami i sekcjami artystycznymi. Nie można dopuścić, żeby się któraś z sekcji rozpadła. Będę zabiegać o rozszerzenie kręgu oddziaływania placówki. Jeszcze raz podejmę próbę uaktywnienia środowiska młodzieżowego. Jest już grupka aktywnej młodzieży. Muszę zdołować młodzież do rozwijania inicjatyw na rzecz ich własnego środowiska. Moje dotychczasowe próby opierałam na własnej intuicji. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak wysondować zainteresowania kulturalne młodych. Gdyby tak słupska WSP przeprowadziła badania wśród naszej młodzieży, byłaby to nieoceniona pomoc dla mnie i moich kolegów. Przestalibyśmy błądzić. Na razie startuję z programem minimum. Zależy mi na uaktywnieniu mojej wsi. Nie znalazłam jeszcze sposobu na oderwanie ludzi od telewizora, nadal jednak będę szukała sposobu na przełamanie pasywności środowiska.

— **Jakie nowe pomysły chce pani wprowadzić do programu pracy placówki?**

— Moim marzeniem jest powrót do tradycji wiejskiego teatru „Złamane Krzesło” z powodzeniem działającego w Ko-

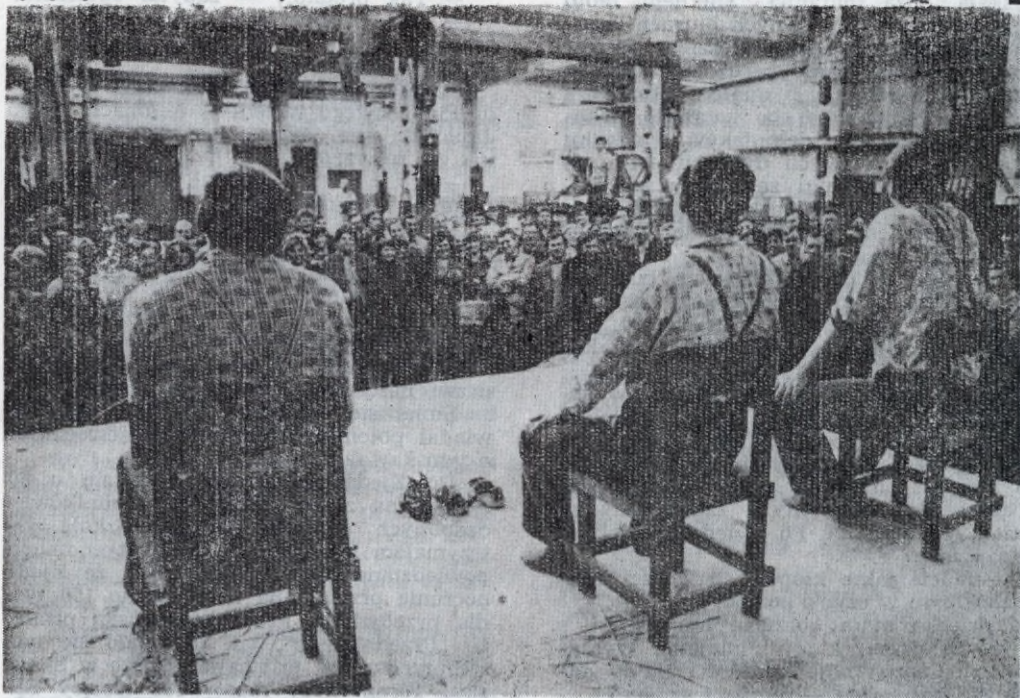
czale przed wielu laty. Zebrało się już nawet 6 pań chętnych do pracy w takim zespole. Chciałabym w tym roku nawiązać ścisłą współpracę z podobną placówką. Chętnie pokazalibyśmy nasz teatrzyk i występy naszych dzieci w innej wsi. Dla dzieci byłaby to wielka atrakcja, bo wystąpiłyby przed nową publicznością. Nad programem pracujemy bardzo długo. We własnym srodowisku dajemy tylko kilka występów. Mobilizuje to dzieci do pracy, ale zbyt szybko okazuje się, że wszyscy już ten program widzieli, a dzieci jeszcze się nim nie nacieszyły.

Chciałabym także, żeby nasza placówka mogła nareszcie sprostać wymaganiom ślupskiego PTL „Tęcza”, żeby teatr ten stał się naszym stałym gościem. W nawiązaniu stałej współpracy przeszkadza nam problem zaciemnienia sali — nigdzie nie możemy kupić okiennic. A więc znowu bardzo błahe, ale jakże uciążliwe sprawy przeszkadzają w realizacji tej inicjatywy. A dzieci wiejskie tak bardzo

przeżywają każdy przyjazd tego teatru.

— **Czy działaczom kulturalnym w Ko-
czale przybyły w nowym roku nowe
zmarwienia?**

— Owszem! Trudną sprawą będzie w tym roku znalezienie animatorów kultury w małych placówkach wiejskich. Niedługo rozwiąże się ten problem w Łekini, bowiem pan Stankiewicz wraca z wojska i zajmie się znowu organizacją życia kulturalnego w tej wsi. Martwi nas Bielsko. Wieś liczy prawie 600 mieszkańców. Sala klubowa jest duża i ładna. Ludzie bardzo chętnie przychodzą na imprezy. Cóż z tego, skoro nikt w tej wsi nie chce się zająć kulturą. Ludzie na wsi stają się coraz bardziej bierni, a przecież nie możemy dopuścić do tego, żeby ich życie składało się z pracy, jedzenia i oglądania telewizji. Coraz trudniej ich przekonać, że kultura na wsi jest szansą na bogatsze, ciekawsze życie.



Ślupski Teatr Dramatyczny pod koniec sezonu artystycznego jeden ze swoich spektakli postanowił przenieść... do fabrycznej hali. W surowej scenerii maszyn i urządzeń produkcyjnego warsztatu Komunalnych Zakładów Naprawy Autobusów „KAPENA” wystawiono „Konopielkę” Edwarda Redlińskiego. Przedstawienie, które rozpoczęło się tuż po sygnale o najniższym fajrante, zatrzymało w fabryce sporą część załogi. Mimo niezwykłych i niedogodnych warunków, spektakl o ebrano żywiołowo. Tak że i pracownicy „Kapeny” i aktorzy chętnie eksperyment powt rzą.

(mim)

Gorzki smak czekolady

Fragmenty
wspomnień
z pierwszych
lat
w Słupsku (10)

KAZIMIERZ KWIECIEN

Fabryka nareszcie doczekała się przyzwyczajonych pomieszczeń biurowych.. Każdej wiosny — w marcu — sadziłiśmy drzewa i krzewy. W miejscu, gdzie dawniej stała spalona willa byłego właściciela teraz tryskała duża fontanna. Zniknęło błoto na podwórzach. W dawnych biurach urządzono przedszkole dla 150 dzieci. Wykonanie wnętrza wypadło bardzo efektywnie. Była to adaptacja i miałem kłopoty z miejskim Sanepidem, bo zabrakło pokoiku na... obieranie ziemniaków. Po kilku tygodniach nerwowych dyskusji przy poparciu i zrozumieniu ze strony inż. Jaroszewicza z Wojewódzkiej Stacji San. Epid. uzyskałem wreszcie zgodę. Zwyciężył zdrowy rozsądek.

Według kosztorysu adaptacja budynku na przedszkole miała kosztować 500 tys. zł. Miałem do dyspozycji tylko 300. Zabrakło na centralne ogrzewanie i na kanalizację.

Trzeba trafić, że uczestniczyłem w sesji MRN, odbywającej się z udziałem wiceprzewodniczącego WRN tow. Jana Jabłońskiego. Po obradach zaprosiłem go do fabryki. Znał ją z okresu pełnego jej upadku. Był zdumiony i zadowolony ze zmian, jakie zastał. Po zwiedzeniu fabryki zapytał:

— Macie jakie kłopoty, trudności, może mógłbym w czymś pomóc?

Od dziecka mam poczucie humoru.

— Od czasu, kiedy Finicjanie wymyślili pieniądze, moje trudności łatwo dają się rozwiązać — odpowiedziałem.

Towarzysz Jabłoński uśmiechnął się.

— Ile — zapytał rzeczowo.

— Dwieście tysięcy.

— Na co.

— Na przedszkole, wykończenie c.o. i wod.-kan.

— Przyjdźcie jutro do Koszalina, załatwimy!

W Koszalinie odesłał mnie do naczelnika Wydziału Finansowego. Jak na skrzydłach sfrunąłem piętro niżej. Tu — zimna woda na głowę.

— Tow. Jabłoński lekką rączką rozdał je, a skąd mam brać?

Nawet nie dał mi przyjść do słowa. Był gniewny i odpychający. Wyszedłem zły.

— Tak prędko!? — zapytał Jabłoński.

— Tak, prędko mnie spławił wasz naczelnik. Złościł się i nawet nie dał mi dojść do słowa...

Podniósł słuchawkę. Naczelnik Wydziału Finansowego wszedł w ukłony. Tow. Jabłoński raz jeszcze, bez trudu przekonał go, że warto dać.

— To... ile? — zapytał. Widocznie zapomniał wysokości sumy.

— Dwieście dwadzieścia — odpowiedziałem bez zmużenia oka.

Jabłońskiemu uniosła się lekko brew, a gdy naczelnik wyszedł nie wytrzymał:

— Zdawało mi się, że wczoraj była mowa o 200 tysiącach?

— Tak, ale za wyrzucenie mnie za drzwi liczę sobie jeszcze 20 tysięcy.

Śmiał się serdecznie i wiem, że opowiadał potem w Komitecie Wojewódzkim o tym kawale.

Do Zjednoczenia zwróciłem się o 50 tysięcy na zakup dywanów, chodników ozdobnych drzewek dla przedszkola. Otrzymałem odmowę. Po kilku tygodniach powiedziano mi w księgowości, że Zjednoczenie przełało na nasze konto 150 tys. dla przedszkola. Prasa koszalińska pisała, że „Przedwiośnie”, tak nazywało się nasze przedszkole, jest najładniejsze w Słupsku. Teraz kiedy mamy 150 tysięcy będzie jeszcze ładniejsze.

Zakupiono kilka grubych dywanów, chodników, drzewek, kwiatów itp. Wydano zaledwie 50 tys., gdy... nadeszło pismo ze Zjednoczenia, że te 150 tys. — to pomyłka. Pieniądze trzeba zwrócić. Odesłałem 100 tys. Grozili dyscyplinarką.

W „Pomorzanie” pracowało kilkanaście osób narodowości niemieckiej, które

zgłosili się do wyjazdu do swej ojczyzny. Na zebraniach kierowników, majstrów, brygadzystów z udziałem członków Egzekutywy i Rady Zakładowej apelowaliśmy o koleżeńskie traktowanie ich, unikanie aluzji o charakterze antyniemieckim, gdyż naród ten, w pewnej części był wrogo nastawiony do hitleryzmu. W każdym razie nie powinniśmy wobec kolegów — Niemców w fabryce okazywać szowinistycznych zachowań. Musimy pamiętać, że jednym z haseł socjalistycznych jest wezwanie: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”.

Kiedy nadszedł czas wyjazdu niemieckich robotników, fabryka każdemu postawiła do dyspozycji samochody do przewiezienia mebli i innych rzeczy do pościgu, każda z osób wyjeżdżających otrzymała zapomogę pieniężną i po 5 kg wyrobów cukierniczych. Odbływały się pożegnania przy kawie. Wiele z tych osób przysłało potem serdeczne listy z Niemiec.



Biblioteka zakładowa ufundowana przez Związek Zawodowy była zarządzana przez Radę Zakładową, ale kartoteka czytających zawierała około 30 nazwisk, a księgozbiór był już dość pokaźny, ponad 2000 tomów. Zastanawiałem się, jak zachęcić ludzi do czytania. Doszedłem do wniosku, że zastosowanie metod przymusu administracyjnego nie jest na pewno środkiem pedagogicznym, ale — być może — okaże się skuteczne.

Poleciłem wzywać kolejno wszystkich pracowników do biblioteki, gdzie mówiłem:

— Proszę wybrać jakąś książkę i przeczytać w ciągu 2 tygodni, potem pani (lub pan) opowie mi jej treść.

W tym niesamowitym trybie administracyjnym cała załoga zaopatrzyła się w książki. Obchodząc działy produkcyjne codziennie i na każdej zmianie, nawet nocnej, często zatrzymywałem się przy stanowiskach pracy. — Co pani (pan) czyta? Podobna się?

Redaktor Żelazik „napadł” na mnie na łamach „Głosu Koszalińskiego” za niepedagogiczne, dyktatorskie metody, wprowadzone trybem administracyjnym, ale efekt był taki, że gdy po pewnym czasie rozmawiałem z bibliotekarką powiedziała:

— Odnosząc książkę wiele osób mówiło: przeczytałam z przyjemnością, może ma pani inną podobną?

— Czytelnictwo ruszyło. Związek Zawodowy kilka razy przyznał nam dotacje na zakup książek. Między innymi kupowałem książki kolegów z „Koszalińskiego Klubu Literackiego”, a potem Oddziału Związku Literatów. Zapraszaliśmy litera-

tów na spotkania autorskie. Przed spotkaniem niektóre osoby z fabryki zapoznawały się z książkami mającego przybyć prelegenta. Byli to poeci, jak np. Marta Aluchna Emelianow, Anatoliusz Jureń, byli prozaicy: Czesław Kuriata (późniejszy prezes Oddziału ZLP), Zbigniew Kiwka, Gracjan Fijałkowski i inni.

Udało się stworzyć w zakładzie „Klub Literacki”, do którego wstąpiło kilkanaście robotnic i kilka osób z personelu biurowego. Zdawałem sobie sprawę z trudności tego rodzaju przedsięwzięcia, gdyż ludzie ci nie mieli wykształcenia. Chodziło mi głównie o rozbudzenie zamiłowania do literatury, do pracy nad sobą. Zalecałem lekturę, czytanie tygodników społeczno-kulturalnych, zaproponowałem zaopatrzenie się w encyklopedie i słowniki wyrazów obcych. Nade wszystko zaś sugerowałem dokształcanie się. Kiedyś zadałem temat „literacki”: opisać jeden dzień pracy w fabryce. Oczywiście — były to same niewypały, bardzo patetyczne, nieporadne opisy w stylu: „Obudziłam się i z radością pomyślałam o kochanej fabryce, gdzie będę wytwarzała słodczyce dla dzieci naszej Ojczyzny, będę swoją pracą pomnażać dochód narodowy Polski Ludowej” itd. Tylko jedna, zaczęła inaczej:

„Znowu dzwoni ten przekłety budzik, godzina piąta rano, za oknem, na szybach mróz wymalował swoje esy-floresy. Nie chce mi się wyleźć z ciepłej pościeli i na samą myśl, że trzeba iść do fabryki aż kipię ze złości, bo ta jedza brygadzystka znowu się przyczepi. Wczoraj miała muchy w nosie i pewnie wstała lewą nogą, albo i do góry... plecami, bo zaraz rano, kazała mi iść do innej maszyny, znacznie gorszej, rozregulowanej i co ja na niej zarobię? Przecież mam akord. A konserwator, ten śpiący Felek, albo nie potrafi doprowadzić automatu do porządku, albo i nie umie.

Potem kierownik zawijałni stęka, że karmelki źle zawinięte i że mało... Boi się facet, że dostanie wcięrę od kierownika produkcji albo i od głównego inżyniera, a jeżeli zobaczy to naczelný dyrektor, może być małe trzęsienie ziemi.

Pannice w biurze mają lepiej. Przychodzą na siódmą, siedzą przy biurku i zaraz zaczynają od kawy... Przekłeta zima!”.

Tekst ten — cytowany tu z pamięci — napisała pani Lonia Czempisz. Kilka dni później był u mnie redaktor Bolduan z tygodnika „Kaszëbe” w Gdańsku — od razu złapał ów tekst i wydrukował. Lonia chodziła w glorii. Ale na tym skończyły się sukcesy „kółka literackiego” w fabryce „Pomorzanka”.

Ojczyzna-polszczyzna

Zofii Kurzowej

Na tylnej okładce książki informacja: „Autorka, urodzona lwowianka, język swojego miasta pamięta jeszcze z dzieciństwa. Dziś profesor językoznawstwa polonistycznego w Uniwersytecie Jagiellońskim od wielu lat w swojej twórczości naukowej poświęca uwagę również studiom nad językiem polskim kresów wschodnich”. Przepiszmy, tym razem z wyklejki, takie oto przesłanie autorki? wydawcy?: „Studium niniejsze stara się wypełnić lukę w badaniach nad przeszłością południowo-wschodniej odmiany regionalnej języka polskiego. Ukazuje ten język na tle historii ziem południowokresowych i ich związku z polskim obszarem etnicznym. Materiał językowy pochodzi z żywych wypowiedzi rodowitych lwowian, których lata dojrzałości lub młodości przypadły na okres międzywojenny, a także z tekstów humorystycznych dialogów, okolicznościowych wierszy i piosenek ulicznych. Trzon pracy stanowi słownik, gromadzący ponad 800 haseł wyrazowych ponad 200 frazeologizmów charakterystycznych dla miejskiego języka Lwowa oraz dla języka całego regionu. Polszczyzna południowokresowa ukazana jest w wariantach społecznych (dialekt kulturalny, gwara miejska) i geograficznych (język polski na prowincji) na tle polsko-ukraińskich kontaktów językowych i bilingwizmu mieszkańców”.

Kresy! Bardziej niż nam się wydaje są one w naszym intelektualnym i obyczajowym krwiobiegu. Ale mówiąc Kresy, myśleliśmy (i myślimy) niezmiennie o owej części ziem zamkniętych od północy Prypecią z jej dopływami Turia, Styrem, Horyniem i Teterewem od południa zaś Prutem. Wszystko co było położone na północ od Prypeci, więc Białoruś, Litwa i Zmudź w przedziwny jakiś sposób nie utożsamiało się z Kresami, choć było nimi w gruncie rzeczy. Owe onomastyczne tigte poniekąd uzasadnione są historią tych ziem. Ruś Czerwona ciążyła zawsze ku Koronie, ona zaś jej nie odpychała, przeciwnie ze stulecia na stulecie coraz silniej ze sobą wiązała, aż w 1434 roku Ruś Czerwona pod względem prawnym została zrównana z Koroną: wprowadzono tożsamą co w Królestwie Polskim hierarchię urzędniczą i sądowniczą, wreszcie gdy w Korczynie w roku 1456 potwierdzono Statuty nieszawskie, zrównano tym samym przywileje szlacheckie Rusi Czerwonej z polskimi. W ślad za tymi posunięciami nastąpiło przemieszczanie się wielkich grup ludności: szlachty, mieszczaństwa i chłopstwa. Kusily puste przestrzenie, miasta otwarte na handlowe kontakty z Daleką i Południową Azją, wreszcie urodzajna ziemia. Budowano wiele i szczerze. Kresy zawsze były tygłem (choć nigdy wrzącym!) narodowości, ras i religii. Wypada to podkreślić, bowiem tutaj, na tych ziemiach tolerancja nie była li tylko pięknie brzmiącym hasłem, lecz praktyką codzienności. I nie będę chyba zbyt daleko prawdy, jeśli napiszę, że była tutaj obowiązkiem i normą społecznego współistnienia. Religia pierwiej niżli poczucie narodowe była na Kresach lepszczem, a krzewienie się wpływów kościoła katolickiego żadną miarą

nie umniejszało roli cerkwi. Wręcz przeciwnie, pozostające pod wpływem kultury grecko-bizantyjskiej krainy nad Bugiem i Dniestrem zetknąwszy się z kulturą łacińską dały w efekcie piękny i jednobrzmiący stop. Wcale wyraźne tego ślady mamy w języku pisanym, a później w literaturze. Stąd przecież wiodą swe rody pisarze tej miary co Stanisław Orzechowski, Mikołaj Rej, Mikołaj Sep-Szarzyński, Jan Zamoyski, Szymon Szymonowicz, Kacper Twardowski, Jan Stanisław Jabłonowski, Grzegorz Piramowicz, by wymienić tylko tych, którzy działali tu w przedziale XVI i XVIII wieku. A potem już plejada, którą otwierają nazwiska najświetniejsze ze świetnych: Juliusz Słowacki i Aleksander Fredro, Goszczyński i Ossoliński. Zmarły niedawno wybitny pisarz Julian Wołoszynowski również z kresowej wiódł się proveniencji. Dzisiaj mamy także solidny wcale zastęp świetnych pisarzy o kresowym rodowodzie: Andrzej Kuśniewicz, Leopold Buczkowski, ba! sam Artur Sandauer. A jeszcze przecież i Vincenz, i Iwaszkiewicz i... prawie w nieskończoność można by wymieniać nazwiska i powinowactwa kulturowe. W tym kontekście język grał swoje pierwsze skrzypce. Był źródłem — jak zwykle — porozumienia, ale także czymś więcej, znakiem odrębności. Mianem polsko-ukraiński, a wcześniej rusko-polski wykształcił swoisty język kresów, język pełen blasku, dowcinu leksykalnego, swoiste słownictwo, morfologię i składnię, nie tracąc nic, lub niewiele z miejscowych nawyków artykulacyjnych.

Zofia Kurzowa dokonała ogromnej pracy porządkującej. Że nie jest to pierwsza i jedyna praca w tej materii, wystarczy zajrzeć do aneksu bibliograficznego. Nie w tym rzecz jednak, lecz w tym, że jest to praca, która w sposób syntetyczny ujmuje z jednej strony dzieje ziem południowokresowych i na ich tle dzieje języka polskiego, z drugiej — w swej części zasadniczej zawierającej słownictwo i frazeologię polszczyzny południowokresowej — jest nieocenionym wręcz narzędziem pracy dla współczesnych pisarzy, którzy podejmując — coraz częściej — tematykę kresową, odcięci od żywego i coraz bardziej zanikającego języka, muszą aby być wiarygodni, posiłkować się owym językiem. Książka zatem Zofii Kurzowej jest spełnieniem potrzeby dyktowanej przez życie. Pomijam w mej recenzji sprawy mogące zainteresować wyłącznie językoznawców, choć w dużej mierze oni są jej adresatem. I oni też zapewne na łamach specjalistycznych pism wypowiedzą się na ten temat. Osobiście dla mnie praca Zofii Kurzowej ma jeszcze jedną wartość, tę mianowicie, że w dobie zainteresowania się korzeniami polskości i polszczyzny jest jedną z tych książek, które je odsłaniają. Posłuchajmy przeto fragmentu z wiersza Andrzeja Chciuka cytowanego przez Zofię Kurzową, fragmentu, naturalnie, w mowie lwowskiej:

*Śluchać batiara — taż to koncert
gdy słyszysz, kiedy ktoś bałaka,
I w sercu sływa miód i balsam,
o mesztach, szóstkach i miglancach,
że ten pitolku szac chłopaka,
że się telepie trambal w szynach,
że chtoś w tremudce ręcznik trzyma,
że ów trembulkę zjadł i ċmagi potem wysączył.*

ANDRZEJ TURCZYŃSKI

ZOFIA KURZOWA, *Polszczyzna Lwowa i kresów południowo-wschodnich do 1939 roku*, PWN, Warszawa—Kraków 1983.

Kto odejdzie stąd, jest mordercą!

Krótkie westchnienie morderzanego, owo zachłystnięcie się ostatnim być może tężeniem powietrza, nie zostało usłyszane przez nikogo. Pochłonął je głuchy łomot ciężkiego samochodu u góry i gwar rozmów przechodniów. Ofiara, otrzymawszy cios nożem w piersi, wsparta się na palcach nóg i zatrzymana tak nagle stała na moment wyższa od wszystkich idących w obydwu kierunkach. Wyższa także od tej dwumetrowej dziewczyny. Potem upadła na twarz. Ludzie mijający nieszczejnieka odskoczyli nagle czyniąc pustkę.

Nastął moment milczenia. Usłyszeliśmy trzmiela, którego jakaś kobieta wniosła pod ziemię na bukiet kupionych kwiatów. Mój przyjaciel, który natychmiast pojął sens zdarzenia, krzyknął głośno i wyraziście:

— Kto odejdzie stąd, jest mordercą!

Być może przechodnie i tak by się rozbiegli, gdyż trwa czas obojętności oraz egoizmu, więc krzywdzeni pozostawiani są ze swym cierpieniem. Ale obydwaj wyloty podziemnego przejścia zostały w naturalny sposób zakorkowane. Od strony ulicy Bema całe schody wypełniła kolonia tłustych dziewczyn spożywająca pizzę albo lody i zsuwająca się w dół leniwie w sposób wysoce nieorganizowany. Nikt nie miał szansy przedrzeć się dostatecznie szybko między tym stadem. Drugie wyjście wiodące na deptak Starzyńskiego odciecia duża grupa wczasowiczów z Ustki, głównie pólnagich, starzejących się kobiet. Morderca zrozumiał, że ucieczka zdekonspiruje go wobec wielu ludzi. Pozostał więc w gromadzie tak nagle zatrzymanych przechodniów na samym środku podziemnego przejścia.

Nad leżącym młodym człowiekiem z nożem w piersi pochyliła się energiczna kobieta twierdząc, że jest lekarzem. Pracownica biura turystycznego umieszczono w kłitce podziemnego przejścia dzwoniła gdzie trzeba, meldując o zafajsku.

Przełtwno przechodniów został wstrzymany. Zaciekawieni tragedią ludzie ustawili się w grupy: pośrodku, niedaleko ofiary, podejrzani o zbrodnię, w tym mój przyjaciel ze mną. Z lewej i prawej coraz liczniejszy tłum zatykający komunikację. Tegie dziewczyny żarły ciasto z grzybami i szerokimi jezarami lizały lodu. Tegozadłe wczasowiczki w krótkich spodniach z racji sierpniowego upału wachlowały się torebkami. Na brudnej posadzce przejścia czerniała krew ugodzonego nożem.

Mój przyjaciel powtórzył szybko:

— Zabójca jest tu, z nami. Dlatego nikt nie może odejść!

Rzeczywiście mordercą musiała być jedna z siedemnastu osób, które teraz toczyły się pod ścianą z reklamami, gdyż nikt nie odskoczył po zadaniu ciosu, a rzecz dokonana się w naszej gromadzie. Ludzie tak dalece niczym się nie interesują, że w nairuchliwszym punkcie miasta można zaabić kogokolwiek i nikt zbrodni nie zauważy.

— Ale kto to zrobił? — wyjąkał chudy, drobny starszek z grupy podejrzanów.

— Ty dziadku! Widziałem! Miałeś nóż

w cholewie! — wykrzyknął chłopak, który stał za gromadą pożywiających się grubych dziewczczyn. Zarechotał przy tym i panienki z sympatią pochwyliły dowcip. Fala malej radości przepłynęła przez ich szeregi.

Zimnokrwistym, jak sądziłem, znakomicie teraz obojętnym zbrodniarzem nie mógł być każdy człowiek z naszej siedemnastki. W żadnym bowiem wypadku któregoś z czworga dzieci do lat dziesięciu, pozbawiony siły chucherkowatu staruszek oraz mu dwaj. Wśród pozostałej dziesiątki znajdowało się aż sześć kobiet. Nigdy nie słyszałem, aby kobieta patrzyła na zimno, wśród ludzi fachowo uderzyć własnie nożem i potem spokojnie stać i oglądać broczącą krwią ofiarę. Płeć ta w ataku złości umie rzucić elektrycznym żelazkiem a nawet narkiem z gorącą zupą, ale nie mierzu wówczas precyzumie, więc wielu mężczyzn uchodzi nie tylko z życiem, ale i z całą skórą. Nie, nie można było brać pod uwagę blondynki w zawieszanej ciąży, emerytki ze szlachetną twarzą przeuroczej sowy, dwóch szesnastoletnich przyjaciółek trzymających się bez przerwy za ręce i kolorowuch niby papużki. Była jeszcze jedna młoda, zdrowa kobieta w średnim wieku, ale ta trzymała ciężkie torby w obudwu dłoniach, oraz dymetrowa dziewczyna w wieku około dwudziestu lat o twarzy właściwie brzdąkiej lecz niezmiłnie rasowej fiaturze tak rzadkiej u wielkoludek. Ona również coś trzymała w dłoni, a nonczes iei przetrzysta nawet w cieniu sukienki widać było wszystko i wszystko to było piękne.

Strasznego czumu mógł więc dokonać tylko jeden z czterech mężczyzn. Każdy wystarczająco silny, by nagle pchnąć żelazem drutego z jakieś tam przyczyną. Wiele łuski buczek w gimnastycznej koszulce jedząc własnie z fanfaronada świeżego sera i oliwki seledunowej sałaty. Albo niski brunet w okularach z zimną twarzą i oczyma głodnego szczura. Człowiek z buczem, murmurującym karkiem i kwadratowym siedzeniem, mający nocucie własnej ważności, gdyż patrzył z pogarda na otaczających go podludzi. Wreszcie onolony na czekoladę piękniś w białych drewniakach, ubrany w szorty i beżowy sweter. Dziewczyna z kolonii nożeratu o oczyma, jakby składała się jednocześnie z mieszaniny lodów i nadziewanej łososiem ryznu.

Wszystko od momentu zbrodni do pojawienia się pracowników pogotowia ratunkowego oraz policji nie trwało więcej niż siedem minut, lecz przyjacieli mój zdążył wykryć osobę, która zadala cios, co najpierw przyjęte zostało przez zaintere-

sowanych z kpina, a później z pełną uznania niechęcią.

— Czy ktoś widział mordercę? — spytał mój przyjaciel ludzi w podziemnym przejściu. — Jakies podejrzan zachowanie, nienaturalny gest, chęć ucieczki, cokolwiek?

Ale nikt niczego nie pamiętał lub nie zamierzał opowiadać byle komu. Uznano jedynie, że skoro zabitemu życia się nie przywróci, należy szybko odejść w powszedniość dnia.

— Wobec tego tylko ja wiem, kto zamordował — stwierdził mój przyjaciel i uwoaa ta zelektryzowała wszystkich, gdyż mieli szansę obejrzeć człowieka zdolnego zabić w tłumie. Miedzy dziewczynami na schodach przedzierał się już pracownik pogotowia w białych kitlach, ostro zatrzymał się nad naszymi głowami inny samochód.

— Widzisz — powiedział mój przyjaciel, gdy było już po wszystkim — z siedemnastorga osób tylko jedna ani razu nie rzuciła wzrokiem na zabitego młodego człowieka. Zrobiła swoje i nie chciała go znać, wypierała się wszelkich związków z nim na oczach świadków.

— Nie powiesz, że to wystarczająco szczeró? by rzucić podejrzenie?! — zaproponowałem.

— Nie — rzekł przujaciel. Tylko ona też miała rekwizytki, gdyż naczuła się o śladach nalców na rękojeści noża. Upał jak w piekle, wszyscu chodzą na golasa, a ona nosila rękawiczki.

— Nie spostrzegłem nikogo w rękawiczkach!

— Boś patrzył na inne rzeczy.

Tak, widziałem jedynie jej lekko wypukły brzuch prawie nagi pod przeźroczystym materiałem sukienki, ostre piersi oraz inne piękno. Jak wszyscy dziś wiedzą nazywała się Gizela Estera Wendówna. Zabity natomiast nożem jej chłopak Piotr Tuchomski. Pozbawiła go życia, gdyż lubił inne kobiety. Obiecala mu, że gdy pójdzie jeszcze raz do kochanki, nigdy już nie wróci do żadnego domu. Oraz że chłopak przekona się, iż nikogo nie zainteresuje jego śmierć.

— Cóż za starożytna namietność — powiedziałem do przyjaciela z żalem. Żal dotyczył faktu, iż nie nazywam się Piotr Tuchomski.

ANATOL ULMAN



Łeba ma szansę być znana w świecie. Duży napis *Welcome to Łeba* witał przyjeżdżających do tego nadmorskiego miasteczka turystów campingu i carawaningu na 45 Rally FICC z 23 krajów Europy, Azji i Ameryki Północnej.

Był to już 45 zlot ludzi, którzy uciekają od cywilizacji, poznają świat i jego różne krajobrazowe zakątki wożąc wzorem koczowników namiot albo przyczepę samochodową. Jest to federacja działająca od początku lat dwudziestych, jej polski odpowiednik to Polska Federacja Campingu, która była gospodarzem 45 Rally FICC.

WE WRZEŚNIU ZAPRASZAJĄ ● WE WRZEŚNIU ZAPRASZAJĄ

ŚLUSKI TEATR DRAMATYCZNY

Ślusk, ul. Wałowa 3, tel.: 49-60, 38-39

- 8—15 — Festiwal Pianistyki Polskiej
- 25—26 — „Hiob” — gościnnie Teatr Wybrzeża
- M. Vucetić — „Ljubica” — reżyseria i wykonanie Magda Szkopkówna-Bar-toszek (premiera monodramu)
- „Ostry dyżur” — J. Lutkowski, reż. Ryszard Jaśniewicz
- „O dwóch takich co ukradli księżyc” — Kornela Makuszyńskiego, adaptacja i reżyseria — Bogusława Czosnowska

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH

Ślusk, ul. Pawła Findera 3, tel.: 40-41

Baszta Czarownic,
ul. Francesco Nullo 12—30

Zapis graficzny w skórze — plenery w Krzyni 82/83 — wystawa retrospektywna

WIMBP — filia nr 8 przy ul. Br. Gierym-skich

- Malarstwo śluskich artystów plasty-ków, ekspozycja ze zbiorów BWA w Ślusk

MGOK w Debrznie

- „Stare Gronowo 84” wystawa poplene-rowa Ogólnopolskiego pleneru cerami-ków

MGOK w Czarne

- collage Anny Smolany — art. plastyka z Sopotu

KLUB MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI

Ślusk, pl. Armii Czerwonej, tel.: 66-07

- Malarstwo Heleny Naksianowicz — art. plastyka z Kielc

■ Janusz Karcz — mieszkaniec Słupska, członek Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy otrzymał wyróżnienie (w dziedzinie prózy) na Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Władysława Wągla.

■ Z okazji 25-lecia KKMP w Śródborowie pod Warszawą zorganizowano seminarium literackie. Młody słupski poeta — Janusz Miller otrzymał wyróżnienie w jubileuszowym konkursie literackim. Nagrodzone utwory drukowane będą w miesięczniku „Okolice”.

■ W województwie obchodzono Dni Przyjaźni i Braterstwa z Obwodem Połtawskim. Program Dni był bardzo bogaty. W MPS można było oglądać wystawę sztuki ludowej. Dużym zainteresowaniem cieszyły się występy Zespołu Pieśni i Tańca „Łtawa” prezentowane w Słupsku, Uście, Czarnej Dąbrówce i Lęborku. W Młostku i Człuchowie oklaskiwano zespół Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. W Księgarni KMPIK dużym zainteresowaniem kupujących cieszyły się książki pisarzy rosyjskich i radzieckich oraz drobne pamiątki. Goście z Połtawy spotkali się także z członkami zespołów pieśni i tańca „Jasień” i „Pomorze”.

■ Z okazji święta 22 Lipca w Słupskim Teatrze Dramatycznym zorganizowano uroczystą akademię. W części artystycznej, którą reżyserował Ryszard Hetnarowicz zaprezentowano „Kantatę Lipcową”. Muzykę napisał Krzysztof Skrzypczak a tekst Andrzej Turczyński. Kantatę wykonał chór akademicki i zespół instrumentalny WSP w Słupsku pracujące pod kierunkiem H. Stillera. Oprócz studentów wystąpili także aktorzy Teatru „Rondo”.

■ Z okazji święta we wszystkich placówkach kulturalnych województwa słupskiego zorganizowano okolicznościowe spotkania mieszkańców z pierwszymi osadnikami, weteranami II wojny światowej i przedstawicielami władz. Przygotowano także bogaty blok imprez artystycznych, na których swój dorobek artystyczny prezentowały miejscowe amatorskie zespoły artystyczne. We współpracy z Gminnymi Bibliotekami w Przechlewie i Nowej Wsi Lęborskiej przygotowano wystawy dokumentów z pierwszych lat po wojnie. Odbyły się także liczne festyny. W Czarnem, w turnieju „O beczkę piwa” uczestniczyli mieszkańcy Nadziejewa, Czarne i Wyzzech.

■ Po gruntownej renowacji wrócił na swe miejsce Pomnik Powstańców Warszawy. Pomnik wzniesiono w Słupsku w kilka miesięcy po wyzwoleniu. Był on pierwszym tego rodzaju wyrazem hołdu dla powstania w powojennej Polsce. Wzniesiono go z inicjatywy uczestników sierpniowego zrywu. Prace renowacyjne przebiegały pod patronatem Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Fundusze na pokrycie kosztów na konto STSK przekazywały zakłady pracy, instytucje i osoby prywatne. W ceremonii „ponownego odsłonięcia” pomnika uczestniczyli mieszkańcy miasta oraz harcerze z całego kraju przebywający na obozach na Ziemi Słupskiej.

■ W 40 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego przygotowano wiele okolicznościowych spotkań. W harcerskich stanicach w Rowach, Uście, Podębnie, Jarosławcu przygotowano uroczyste wieczornice. Na spotkania zaproszono uczestników sierpniowych walk w stolicy.

■ Trwają prace przygotowawcze do obchodów 700-lecia Lęborka. Nad całością czuwa Lę-

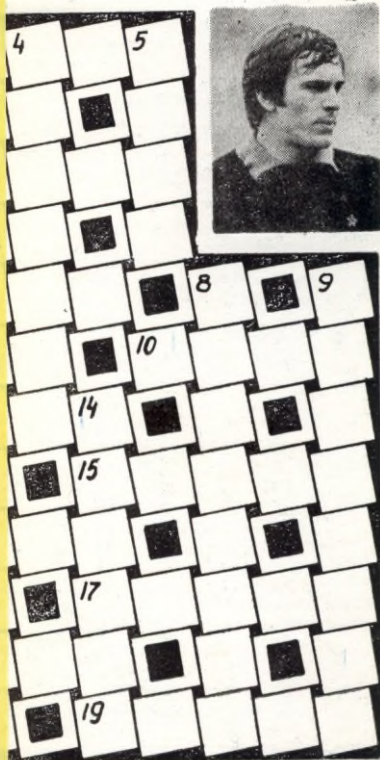
LEX

kie pogromcy zwierząt; (3) zaę-
np. Anna Dymna; (4) bla-
ha wiadomości; (5) wielki
szacunek dla kogoś lub cze-
go; (8) w księgowości za-
stąpione minikomputerem;
jest baśniowym symbolem
(9) 15 minut; (11) jej kwiat
szczęścia; (12) roślina ole-
sta; (13) linijka pisma lub
druk; (14) zwierzę futer-
kowe.

PIONOWO:

— (2) zaę-
cie pogromcy zwierząt; (3)
np. Anna Dymna; (4) bla-
ha wiadomości; (5) wielki
szacunek dla kogoś lub cze-
go; (8) w księgowości za-
stąpione minikomputerem;
jest baśniowym symbolem
(9) 15 minut; (11) jej kwiat
szczęścia; (12) roślina ole-
sta; (13) linijka pisma lub
druk; (14) zwierzę futer-
kowe.

Duet krzyżówkowy





Leba ma szanse być znany dla wielu z nich nadmorskich. 45 Rally FICC z 23 krajów

Był to już 45 zlot ludzi, krajobrazowe zakątki wozące. Jest to federacja działająca w Polsce. Polska Federacja Campingu,

WE WRZEŚNIU ZAPIS

SŁUPSKI TEATR DRAMATY
Słupsk, ul. Wałowa 3, tel: 49

- 8—15 — Festiwal Pianisty
- 25—26 — „Hiob” — goś Wybrzeża
- M. Vucetić — „Ljubica” i wykonanie Magda Szkotowska (premiera monodramu)
- „Ostry dyżur” — J. Lurys Ryszard Jaśniewicz
- „O dwóch takich co ukończyli” — Kornela Makuszyńska i reżyseria — Bogusława

BIURO WYSTAW ARTYSTÓW
Słupsk, ul. Pawła Findera 3, Baszta Czarownicy, ul. Francesco Nullo 12—30

Zapis graficzny w skórce — Krzyż 82/83 — wystawa re

borskie Towarzystwo Kulturalne. Zorganizowano już wystawę: „Lębork w starej fotografii”. Planowane jest wydanie zbioru baśni i legend o mieście w opracowaniu Jana Piepki, kalendarza, okolicznościowych plakatów i znaczków. Trwają również prace nad przygotowaniem dwudziestominutowego filmu dokumentalnego o mieście. Podjęto także inicjatywę rewitalizacji secesyjnej starej części miasta.

■ Towarzyszący od lat mieszkańcom Ziemi Słupskiej „Głos Pomorza”, najpopularniejszy dziennik na Środkowym Wybrzeżu obchodził jubileusz wydania 10000 numeru. Zespół redakcyjny „Gryfa” przekazuje wszystkim pracownikom redakcji „Głosu” najserdeczniejsze życzenia.

■ Bytowski Dom Kultury, współpracujący od lat z Gdańską Akademią Muzyczną wieloletnią przyjaźń umocnił podpisaniem nowego porozumienia. W bytowskim zamku oprócz tradycyjnych koncertów muzyki kameralnej od września odbywać się będą prezentacje fragmentów przedstawień operowych i operetkowych. Wykonawcami będą wykładowcy i studenci wydziału instrumentalnego AM.

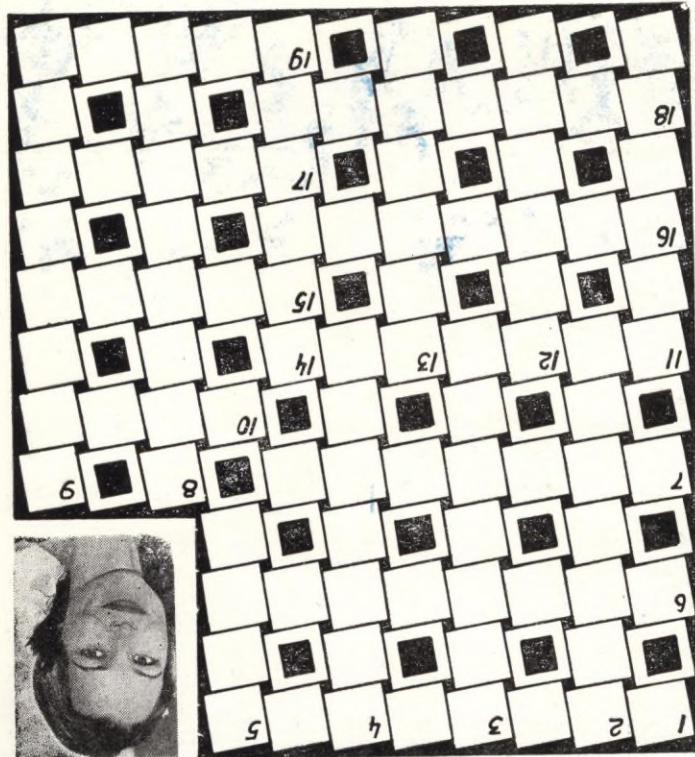
■ Słupscy harcerze zdobyli aż trzy „Brazowe Jody” na Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej i Harcerskiej „Kielce 84”. Nagrody przywieźli: chór „Muszelki” z Leby, zespół „Mgiełki” z Ustki oraz recytatorka Anna Leśnikowska.

■ Na wielkim międzynarodowym zlocie turystów z całego świata — 45 Rally FICC w Lebie przygotowano bardzo bogaty blok imprez kulturalnych. Koncertowały zespoły Pieśni i Tańca „Pomorze” i „Bytów”, Orkiestra Marynarki Wojennej, zespół „Babsztyl”. Dwukrotnie zorganizowano akcję dzieł twórców ludowych. Dzieci zaproszono na spektakl PTL „Tęcza” — „Człimi”, na bal maskowy oraz do udziału w konkursie rysunkowym. Wieczorne dyskoteki prowadził Maciej Macko. Zespół teatralny „Rondo” przedstawił widowisko plenerowe. Nad całością imprez kulturalnych w Lebie czuwali pracownicy Wojewódzkiego Domu Kultury w Słupsku.

ROZWIĄZANIE DUETU KRZYŻÓWKOWEGO Z NRU 8:

I) Poziomo: — perfumy, mięksiz, wakuacje, uszy, posucha, Meir, organki, kwas, tandeta. Pionowo: — epika, fakla, Masaj, Osterwa, wyprost, Kosygin, chcenie, etamina.

II) Poziomo: — ukulele, szelest, malarka, tabu, notesik, ślad, igranie. Odra, Latakia. Pionowo: — krzta, Lalka, lasek, ballada, Mundial, literat, Rusinek, ankieta.

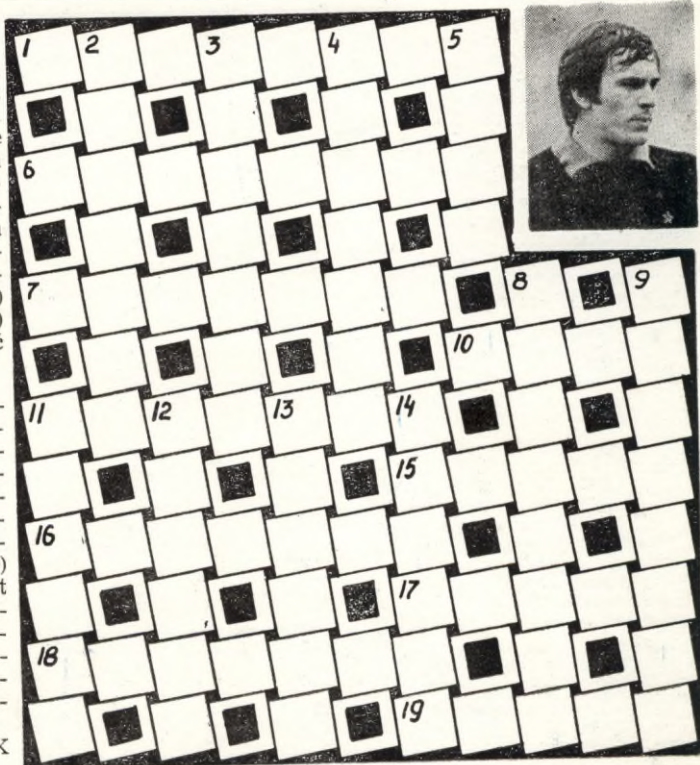


Duet krzyżówkowy

POZIOMO: — 1) celna na przejściu granicznym; 6) np. A, C, PP; 7) przedsiębiorstwo eksploatujące statki handlowe; 10) pora roku; 11) mistrz w wykonywaniu utworów muzycznych; 15) łaźnia parowa — dawniej; 16) podwyższenie przeznaczone na występy artystyczne; 17) ZSRR — przedtem; 18) gromada, zgraja; 19) część żołądka przeżuwczy.

PIONOWO: — 2) skrawki, łupiny; 3) średniowieczny żołnierz straży przybocznej monarchy; 4) rzeka w Ameryce Południowej; 5) aromatyczna przyprawa do ciast; 8) „przypisany” do fortepianu; 9) w nim inkaust; 11) szczyt góry — w gwarze góralskiej; 12) rasa psów pokojowych; 13) posiada mianownik i licznik; 14) miasto w zach. części Ukrainy — SRR.

LEX



Duet krzyżówkowy

POZIOMO: — 1) projesja sztukiego olbrzyma Argusa; 6) „Pianistyk” Polskiej; 7) oświeźnica; 10) jedna z czynności rolnika; 11) przenośna osłona; 15) dla urzędniaka; 16) podarunek; 17) członkini rady narodowej; 18) kompozytor słynnych polonezów; 19) ogłoszenie w prasie — dawniej.

PIONOWO: — 2) zajęcie pogromcy zwierząt; 3) np. Anna Dymana; 4) blaszaczunek dla kogoś lub czego; 8) w księgowości za-9) 15 minut; 11) jej kwiat jest baśniowym symbolem szczęścia; 12) roślina olej-13) liliaka pisma lub druku; 14) zwierzę linter-15) kowe.

LEX

